



**ADAM RADŁOWSKI**

# **Cena pokusy**



**WYDAWNICTWO  
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

Okladkę projektowała

ELIZA MAZURKIEWICZ

Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny

ZOFIA SZYMAŃSKA

Korektor

LEONARDA KRÓLIKOWSKA

*Pięć tysięcy osiemset dwudziesta dziewięta*

*publikacja Wydawnictwa MON*

Printed In Poland

Wydawnictwo

Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1976 r.

Wydanie I

Nakład 120 000+150 egz.

Objętość 5,86 ark, wyd. 6,25 ark, druk.

Papier druk, sat. VII kl. 65 g, rola 63 cm

z Fabryki Papieru w Głuchołazach.

Oddano do składu w marcu 76 r.

Druk, ukończono w wrześniu

w Wojskowych Zakładach Graficznych

w Warszawie.

Zam, nr 277 z dnia 24.03.76.

Cena zł 12. –

J-120

# 1.

Jadąc zatłoczonymi jak zwykle rano ulicami Brukseli Robert z przyjemnością wspominał ostatni weekend. Jeszcze dwa dni temu nie podejrzewał, że można tak ciekawie spędzić czas. Prawdę mówiąc, rzadko wyjeżdżał. W piątkowe wieczory, kiedy miasto stawało się nieco luźniejsze, odkrywał na nowo uroki małych restauracyjek, wałęsał się do późnego wieczora po ulicach, wstępował do kina, czasem zdarzało się, że wsiadał z tym zwariowanym z lekka Ianem do sportowego wozu, by po kilkunastu minutach szaleńczej jazdy znaleźć się w jego domku nad jeziorem, gdzie urządzali wielką pijatykę.

Kiedy więc Christine zgodziła się wreszcie na wspólny wyjazd, musiał przyjąć jej propozycję odwiedzenia małego motelu i restauracji „Pod Koniem”, gdzie – jak twierdziła – można jeszcze zjeść prawdziwe befsztyki. Befszyki okazały się wprawdzie takie same jak wszędzie, ale miejscowość była urocza, pogoda dopisywała przez cały czas, słowem Robert nie tylko nie mógł narzekać, ale biorąc pod uwagę towarzystwo Christine z jej miłą paplaniną i atrakcyjną urodą poczuł się naprawdę wspaniale. Sporo pływali po jeziorze, niewiele wypili i Robert udawał się teraz do pracy w

doskonałym niemal nastroju. Pomyślał, że tego rodzaju eskapady trzeba będzie urządzać każdego tygodnia, nie troszcząc się zanadto o przygotowanie jakiegoś programu.

Zaparkował wóz możliwie najbliżej biura i po chwili siedział już w swoim pokoju, stwierdzając z niejaką melancholią, że nie jest to najlepsze miejsce dla spędzania życia i że do końca tygodnia pozostało jeszcze pięć dni.

Była dokładnie dziewięta pięćdziesiąt pięć, gdy na biurku odezwał się telefon.

– Zechce pan pofatygować się do dyrektora generalnego – głos sekretarki nacechowany był standardową uprzejmością.

Spokojnie włożył do małej aktówki zebrane z biurka kartki papieru z ostatnim opracowaniem, zamknął kartoteczną szafę i bez pośpiechu wyszedł z pokoju.

Gabinet dyrektora mieścił się na dwunastym piętrze biurowca Cooperation Chimique Internationale w niedalekim sąsiedztwie sal recepcyjnych. Na ten poziom docierali tylko specjalni goście i niektórzy wyżsi urzędnicy.

– Pan będzie łaskaw. Szef oczekuje. – Sekretarka spojrzała na umieszczony w regale elektroniczny zegar cyfrowy wskazujący równo dziesiątą. Otworzyła przed Robertem drzwi z uśmiechem, a raczej czymś, co mogło być tylko jego przecuciem, na zawodowo skupionej twarzy.

Wnętrze gabinetu urządzone było niezwykle wytwornie. Najszlachetniejsze gatunki drewna i polerowanego metalu harmonizowały z miękkością wykładziny podłogi. Dzięki bezszelestnie pracującemu urządzeniu klimatyzacyjnemu nie odczuwało się zupełnie panującego na zewnątrz upału. Powietrze było chłodne, świeże, przesycone ledwie wyczuwalnym zapachem drogich cygar.

Armand Leeven, wysoki, nieco kościsty mężczyzna pod sześćdziesiątkę, stał wyprostowany obok dużego ciemnego biurka, opierając się końcami palców prawej ręki o jego krawędź.

- Panie dyrektorze...
- Witam pana. Napije się pan?
- Nie, dziękuję – Robert zdobył się na powściągliwy uśmiech. – Trochę dla mnie za wcześnie.
- Doskonale. Może zatem kawa?
- Bardzo chętnie. Dziękuję.

Szef ruszył w kierunku małego stolika stojącego w pobliżu okna w otoczeniu kanapy i trzech foteli, wskazując jednocześnie miejsce Robertowi.

- Niech się pan obsłuży.

Robert usiadł, położył aktówkę na kolanach i wziął w rękę filiżankę ze spodeczkiem. Starał się nie spuszczać wzroku z twarzy dyrektora, nie upuścić aktówki i jednocześnie mieszać małą łyżeczką kawę.

- A więc, panie...
- Kellermann.

– Tak, rzeczywiście. Hm.- A więc, panie Kellermann, chciałbym panu zakomunikować, że w najbliższym czasie czeka pana wyjazd. Konkretnie: do Polski, w charakterze przedstawiciela naszej firmy. W ostatnim, czasie doszliśmy do wniosku, że w Warszawie przydałoby się coś takiego. Zbyt mało aktywnie zaznaczamy swoją obecność na rynku wschodnim. Mam nadzieję, że ta propozycja zbyt panu nie zaskoczyła?

– Dla dobra firmy wykonam każde zadanie, panie dyrektorze. – Robert starał się zgadnąć, czy w słowach szefa nie było nic poza zwykłym zainteresowaniem.

– Doskonale, panie Kellermann. Potrzebne dokumenty z pełnomocnictwami odbierze pan w moim sekretariacie. Polecano mi dość... hm... gorąco pana kandydaturę... Ma pan zresztą nienaganne opinie – dodał spieszenie. – Ile pan ma właściwie lat?

– Trzydzieści sześć. Czy...? – Robert zawiesił głos.

– Nie, nie – dyrektor podniósł wąskie dłonie na wysokość twarzy. – Tak tylko pytałem. To w najmniejszym stopniu nie wpływa na decyzję. Ale wracając do rzeczy: na miejscu, w Warszawie, zorganizuje pan biuro. Wystarczy na razie coś niezbyt wielkiego. Nawiąże pan jednocześnie odpowiednie kontakty w Ministerstwie Przemysłu Chemicznego oraz w branżowych centralach handlu zagranicznego. Dokładniejsze instrukcje znajdzie pan w materiałach, które dla pana przygotowano. Oczywiście wszystkie poufne dokumenty dotyczące naszego

rozeznania tamtejszego rynku zechce pan łaskawie, po zapoznaniu się z nimi, zostawić w dziale badań. Gdyby już na miejscu napotkał pan jakieś trudności, natury branżowej oczywiście, proszę kontaktować się z panem Paolo Vettinim w Budapeszcie, który, jak pan zapewne wie, reprezentował dotychczas również nasze interesy w Europie Wschodniej. Bylibyśmy zainteresowani, aby ciężar tych zadań przejął pan w okresie późniejszym na siebie. Ale na razie może pan śmiało polegać na jego doświadczeniu. Polska to dość specyficzny kraj, ale myślę, że da pan sobie jakoś radę. Jakież pytania?

– Nie mam żadnych, panie dyrektorze.

Wróciwszy do swego pokoju Robert usiadł za biurkiem. Zamyślił się. Decyzja dykcji nie była dla niego niespodzianką, nie przewidywał jednak, że nastąpi to już teraz. Polska... ten kraj nie był mu zupełnie obcy. Znał go z wielu długich opowieści przygarniętej przez rodziców pod koniec wojny młodej kobiety o trudnym do wymówienia nazwisku. Jak się ma poznana wówczas rzeczywistość do tej dzisiejszej, znanej jak dotąd tylko z prasy ekonomicznej, radia i książek z rzadka trafiających do jego rąk?

Spojrzał na przyniesione materiały, które w najbliższym czasie miały stanowić jego podstawową lekturę, ale nie czytał ich. Podszedł do niewielkiej, wmontowanej w ścianę pancерnej kasy. Otworzył ciężkie drzwiczki i uważnym spojrzeniem zlustrował pedantycznie



ułożone w dwóch przegródkach papiery. Wydobył wszystkie zdecydowanym ruchem. Jeszcze raz przejrzał je starannie kartka po kartce, chociaż treść każdej z nich znał niemal na pamięć. Kilka odłożył na bok. Z metalowej tacy zdjął syfon, butelkę i szklanki. Resztę papierów darł na drobno kawałki i układał na tacy. Pstryknął zapalniczką. Błysnął jasny płomień i na tacy pozostała tylko mała kupka białego popiołu. Odczekał chwilę i strzepnął popiół do blaszanego pojemnika na śmieci. Zatrzasnął drzwiczki sejfów, po czym zawiesił kluczyk na gałce klamki. Odłożone dokumenty, plik banknotów i bilet kolejowy wrzucił niedbale do aktówki. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. – Chyba wszystko, pomyślał.

Na przygotowania do wyjazdu nie potrzebował wiele czasu. Upiętyło jednak kilka dni, zanim mógł sobie powiedzieć, że nic już nie pozostało do załatwienia. Dwie walizki i mały neseser były właściwie spakowane. Leżały w sypialni z otwartymi wiekami wymagając jedynie dociągnięcia pasków.

Robert położył się wygodnie na kanapie i oparł nogi o poręcz. Pomyślał, że nie będzie już weekendów z Christine, a przynajmniej nie tak zaraz. Christine jakoś podejrzanie łatwo pogodziła się z faktem jego wyjazdu. Prosiła go tylko, by uważał na siebie, kiedy będzie jeździł zaprzęgiem reniferów. W jej raczej słabo rozwiniętej wyobraźni te okolice Europy, o których miała i tak bardzo mgliste pojęcie, kojarzyły się z, kołem podbiegunowym.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Dzwonek u drzwi przerwał te rozmyślania.

Poszedł powoli otworzyć, zastanawiając się po drodze, kto może odwiedzać go o tej porze.

W progu stał oczywiście Ian obładowany paczkami i paczuszkami.

– Cześć, stary! Nie gniewasz się chyba, że przybywam nie zapowiedziany? Dzwoniłem wczoraj do ciebie do biura, ale powiedziano mi, że wybierasz się w podróż. Przyszedłem więc pożegnać się z tobą. Ale nie pozwól mi tak stać, bo ręce mi odpadną. Po drodze te cholerne paczki gubiłem co parę kroków.

– Oczywiście, proszę cię bardzo – Robert wpuścił gościa do wnętrza. – Zwał to w kuchni. Wprawdzie nie spodziewałem się żadnych odwiedzin, ale cieszę się, że jesteś. Wiesz, prawdę mówiąc, to przez ostatnie dni byłem bardzo zajęty. Musiałem poregulować trochę spraw i...

– Rozumiem, stary – Ian poklepał go po plecach. – Te sprawy mają długie nogi i co najmniej sto w biuście. Słyszało się to i owo, ha, ha!

– Nie, to... – Robert był zaskoczony słowami Iana. Nie myślał wcale o Christine. – To widać? – zażartował, odzyskując równowagę. – Raz byłem z nią na weekendzie i wcale nie...

– Dobra dobra. Nie tłumacz się. Rozpakuj lepiej te kłopoty, a ja zajmę się trunkami. Zadzwoń po lód do restauracji?

– Powinno starczyć to, co jest w lodówce. Jeszcze nie wyłączyłem jej. Nie zapomnij tylko, że jutro wyjeżdżam.

Po, chwili siedzieli już naprzeciw siebie oddzieleni kwadratowym niskim stolikiem, Ian z widoczną czułością obejmował palcami wysoką szklankę. Miał swoją metodę: na początek kropla alkoholu i duża ilość wody. Potem wody coraz mniej, aż do odwrócenia proporcji. Wtedy dopiero zaczynał pić. Przy takim systemie był postrachem każdego towarzystwa. O Robercie zaś mówił, że jeszcze parę lat treningu, a będą stanowili zgraną, właściwie nie do pokonania parę.

– A propos twojego wyjazdu – zaczął. – Mam do ciebie małą prośbę. Pamiętasz, dwa lata temu byłem w Polsce na Międzynarodowych Targach w Poznaniu. Poderwałem tam znakomitą dziewczynę. Była rzeczoznawcą w Biurze Informacji Technicznej. Anna. – Ian posłał pod sufit rozmarzone spojrzenie.

– A co to ma wspólnego z moim wyjazdem? – Robert wiedział, że Ian dochodzi do sedna sprawy dopiero po długich korowodach.

– Poczekaj, zaraz ci to wyjaśnię. Otóż rok temu spotkałem ją ponownie na targach w Płowdiv i wyobraź sobie, że prawie się zakochałem. No, może to nie jest jeszcze taka wielka miłość, ale rzeczywiście babka przypadła mi do gustu. I to jest prawda. Chyba mi wierzysz? – Upewniwszy się co do tego, kontynuował: – Otóż chciałbym, żebyś zabrał ze sobą list i przy pierwszej

lepszego okazji wrzucił go w Polskę do skrzynki.

– A nie prościej by było, gdybyś go po prostu wysłał pocztą?

– Człowieku, zrozum, jeśli ty wrzucisz list do skrzynki w Polsce, to dojdzie o wiele szybciej, a poza tym... cenzura...

– Co ty za bzdury wygadujesz? Jaka cenzura? A właściwie co ty tam napisałeś? Słuchaj, przyjaźń przyjaźnią, ale nie chcę mieć żadnych nieprzyjemności w razie kontroli celnej.

– Nie obawiaj się. Nie ma tam żadnej polityki. Jest za to trochę strategii i taktyki, ale raczej nie wojskowej. Poza tym, prawdę mówiąc, chciałbym również, abyś Annę odwiedził. A więc najlepiej będzie, jeśli przekażesz list osobiście. Mam również pewne plany. Posłuchaj...

## 2.

Ekspres Wiedeń-Warszawa był tego dnia wyjątkowo pusty, toteż Małgorzata siedząc samotnie w przedziale pierwszej klasy westchnęła z ulgą. Nareszcie trochę odpocznę, pomyślała z zadowoleniem. Dwa tygodnie spędzone we Włoszech wyczerpały ją nieco. Całe dni na nogach. Zwiedzanie zabytków Rzymu i Wenecji, ciągłe wycieczki i inne atrakcje organizowane później w Paryżu przez Barbarę i jej męża mogły zwalić z nóg

najsilniejszego człowieka. Ale ona nie chciała zrezygnować z niczego. Postanowiła, że odpocznie w Warszawie.

Radość z samotności okazała się jednak krótka. Niemal w ostatniej chwili, kiedy pociąg miał już ruszać, w drzwiach przedziału stanął wysoki, nienagannie ubrany szatyn.

– Czy pani pozwoli zająć tu miejsce? – zapytał po francusku.

– Proszę, są tu przecież wolne miejsca – głos Małgorzaty zabrzmiał uprzejmie, ale niezbyt zachęcająco.

– Dziękuję.

Nowy podróżny stał chwilę niezdecydowany, po czym umieścił swoje bagaże na półce i zajął miejsce naprzeciw Małgorzaty. Wyjął gazetę i bez słowa pogrzył się w lekturze.

Małgorzata czas jakiś walczyła z ogarniającą ją sennością, ale w końcu powieki opadły jej same i nawet nie zauważyła, kiedy pogrążyła się we śnie.

Obudził ją dopiero odgłos energicznie otwieranych drzwi.

– Proszę bilety do kontroli – konduktor w mundurze polskiego kolejarza przykładał rękę do czapki.

Wysoki szatyn ożywił się:

– Panie konduktorze – zaczął mówić po polsku z nieznacznym cudzoziemskim akcentem – czy w wagonie

restauracyjnym dostanę bigos i kotlety schabowe?

Chyba jakiś polonus – pomyślała Małgorzata, który chce jak najszybciej uraczyć się specjałami polskiej kuchni. Sama poczuła, że też chętnie zjadłaby porcję czegoś konkretnego po tych wszystkich włoskich i francuskich potrawach, które jej jakoś specjalnie nie przychodziły do gustu.

– Ależ oczywiście, kuchnię w tym pociągu prowadzi polska obsługa – zapewnił konduktor opuszczając przedział.

– Pani się uśmiechała, gdy pytałem o bigos. Zna pani język polski? A może jest pani Polką? W takim razie rozumie pani moją zachciankę?

– Ależ tak, sama też chętnie bym coś zjadła – Małgorzata potrząsnęła kokieteryjnie głową pozwalając gładko uczesany włosom opaść na ramiona.

Czy mogę więc panią zaprosić?

– Wprawdzie w podróży staram się być samodzielna, ale chętnie przyjmę pana towarzystwo.

– W takim razie pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Robert Kellermann, i jadę do pani kraju w charakterze przedstawiciela handlowego firmy, w której pracuję w Brukseli.

– Małgorzata Zagórska – przedstawiła się krótko.

Ujął ją za rękę i patrząc w oczy powiedział:

– Wiem, że w pani kraju całuje się przy takich okazjach kobiety w rękę. A ja to czynię z dużą ochotą.

Małgorzata zarumieniła się, lecz nic nie odpowiedziała.

W wagonie restauracyjnym siedziało zaledwie kilka osób, toteż kelner zjawił się dość szybko.

– Dwa bigosy – zadysponował Kellermann – i dwa kieliszki czystej, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu. – Spojrzał trochę niepewnie na Małgorzatę.

– Widzę, że zna pan zupełnie nieźle polskie zwyczaje kulinarne – zażartowała.

Kellermann uśmiechnął się, ukazując białe mocne zęby.

– Ale to za mało, by nie usiłować poznawać innych. Do Polski jadę po raz pierwszy. Moja znajomość języka oraz to, że Polacy jedzą od czasu do czasu bigos i kotlety schabowe, pochodzi od naszej gosposi, a właściwie bardziej domownika, niż gosposi. Była ona Polką, a trafiła do domu moich rodziców pod koniec wojny i już została u nas do swojej śmierci. Moja obecna wyprawa do Polski jest więc czymś więcej niż zwykłą podróżą do jakiegoś innego kraju. Polska już dla mnie coś znaczy i muszę, przyznać, że jestem jej bardzo ciekaw. Będę miał okazję dokonać pewnych konfrontacji...

Gdy tak mówił, w jego głosie dało się wyczuć pewne wzruszenie. Wydał się teraz Małgorzacie sympatyczny i jakiś bliski.

– Mam nadzieję – powiedziała – że te konfrontacje wypadną miło. Chyba się pan nie rozczaruje.

– Od chwili spotkania pani doszedłem do takiego samego wniosku.

Dziewczyna zarumieniała się.

– Jest pan bardzo miły – odparła – ale komplementami nie należy zbyt szafować. Proszę wziąć pod uwagę, że jedzie pan do kraju, w którym spotka pan wiele ładnych kobiet...

– Skłamałbym, mówiąc, że nie słyszałem o wdzięku i urodzie Polek. Ale chyba nie będę miał czasu na zachwycanie się ich urodą. Czekam na trudną pracę. Widzi pani, muszę zorganizować biuro, poznać miasto, zorientować się w potrzebach i możliwościach przemysłu chemicznego w Polsce, bo to jest właśnie moja branża, poznać ludzi, no i próbować handlować, jak to się mówi, z obopólną korzyścią. Im więcej sprzedam, im korzystniejsze zawrę umowy, tym więcej zarobię. Czy będę miał jeszcze czas na inne sprawy? To będzie zależało nie tylko ode mnie. – Podniósł kieliszek. – Na ręce pani wznoszę toast za wszystkie piękne Polki.

Małgorzata uśmiechnęła się:

– Zgadzam się na reprezentowanie pięknych Polek tylko z konieczności. Ale wspominał pan, że pracuje pan w branży chemicznej. Mam brata chemika. To są starzy nudziarze. Mam na myśli oczywiście jego i jego kolegów – zastrzegła szybko i znów poczuła, że się rumieni. – Przepraszam, ale to tak wypadło...

– Nie szkodzi – roześmiał się Kellermann. – Ja wprawdzie jestem chemikiem, ale trochę nietypowym.



Mam ukończone studia chemiczne, ale właściwie jestem ekonomistą. Potem trochę uczyłem się organizacji rynku. Przypuszczam, że system edukacji w Polsce jest podobny. W każdym razie chyba jestem bardziej handlowcem, a jeszcze bardziej staram się być po prostu mężczyzną pod czterdziestkę, któremu nieobce są inne zainteresowania. Pani się ślicznie rumieni, panno Małgorzato...

– Bo pan ma prawdziwy dar wprawiania mnie w zakłopotanie, a i ja sama czuję się trochę głupio, kiedy powiem coś, co brzmi niezręcznie. Mówiłam jednak o chemikach. Wie pan co? Czasem trochę się boję, co będzie na przykład za pięćdziesiąt lat. Czy następne pokolenia będą mogły malować naturę już tylko w formie syntetycznej? A może nasze otoczenie będzie się składało z samych wyrobów plastycznych? Polimery, poliestry, plastikowe drzewa i ptaki, księżyc w plastikowym pojemniku?

Kokietka czy idiotka? – pomyślał Robert. A może po prostu sili się na oryginalność?

– Ma pani rację, chemia już teraz zawojowała świat – powiedział głośno. – Na szczęście istnieją na tym świecie takie istoty jak pani. One będą czuwały i przypominały „starym nudziarzom”, żeby nie przesadzali z tymi syntetykami.

Po powrocie do przedziału Kellermann musiał wysłuchać długiego opowiadania Małgorzaty o wrażeniach z biennale w Wenecji oraz o wystawie malarstwa

współczesnego, którą odwiedziła w Rzymie. Temat tak ją zafrapował, że dopiero po jakimś czasie spostrzegła, iż nie jest to wspólna rozmowa, a jej własny monolog.

– Ja tu ciągle o malarstwie – przerwała swoją opowieść – a pan jest już zapewne myślami w Warszawie. Przepraszam, że pana znudziłam.

– Nie jest tak źle. To, co pani opowiadała, jest bardzo interesujące. W Warszawie też chętnie posłuchałbym pani. A to na wszelki wypadek – podał jej wizytówkę. – Mam zarezerwowany apartament w hotelu „Forum”. Będę tam mieszkał, dopóki nie znajdę czegoś interesującego w śródmieściu, czegoś, co nadawałoby się do zamieszkania.

Gdy pociąg zatrzymał się na dworcu, Kellermann trzymając może o sekundę za długo rękę Małgorzaty powiedział:

– Powitanie z Polską było bardzo miłe. Czy tak będzie z całym moim pobytem? Jak pani myśli?

– To będzie zależało od pana. Ja w każdym razie bardzo tego panu życzę.

### 3.

Przewidując, że zorganizowanie lokalu biurowego w centrum miasta będzie wymagało wielu może niełatwych zabiegów, Robert wynajął w hotelu apartament,

składający się z sypialni, części wypoczynkowej oraz tak zwanego studia, czyli czegoś w rodzaju gabinetu.

Jak na początek było zupełnie niezłe. Postanowił więc nie spieszyć się zbyt z poszukiwaniami, tym bardziej że w Warszawie dobiegała końca budowa wieżowca, w którym miały się mieścić w niedalekiej przyszłości wszystkie zagraniczne przedsiębiorstwa handlowe porozrzucane dotychczas w różnych częściach miasta.

W dniu przyjazdu postanowił w ogóle nic nie robić. Rozpakował walizki, wziął natrysk, włożył świeżą koszulę, ciemne ubranie i zjechał do restauracji. W kantynie wymienił sto dolarów. Chowając do portfela pieniądze, przyglądał się z zainteresowaniem nie znanym dotąd banknotom.

Nazajutrz obudził się wypoczęty i zadowolony. Poranna toaleta i lekkie śniadanie jeszcze poprawiły mu humor. Zszedł na dół, poprosił w recepcji o zamieszczenie w popołudniowej gazecie ogłoszenia: „Cudzoziemiec, handlowiec, poszukuje sekretarki ze znajomością języka francuskiego; miła powierzchowność i referencje pożądane”, po czym udał się do najbliższego urzędu pocztowego, gdzie wynotował z książki telefonicznej kilka adresów i numerów telefonów. W kiosku z gazetami zaopatrzył się w plan dzielnic centralnych i przewodnik turystyczny po mieście. Z ulicznego automatu połączył się z „Chemexem” i poprosił o połączenie z dyrektorem.

– Chce pan rozmawiać z dyrektorem Mieczynskim? – upewniła się sekretarka.

– Tak.

– Przykro mi, ale pan dyrektor jest nieobecny.

– Ale widzi pani... byłem umówiony właśnie na dziś...

– A, to co innego. Jeszcze raz się upewnię.

Kiedy usłyszał męski głos, przedstawił się szybko, wymienił nazwę firmy, którą reprezentuje, krótko poinformował o celu swego przyjazdu do Polski i poprosił o rozmowę.

Wydawało mu się, że dyrektor w pierwszej chwili był nieco zaskoczony, ale zgodził się na spotkanie za trzy dni, tłumacząc, iż ostatnio jest bardzo zajęty.

Zadowolony z osiągnięcia pierwszego małego sukcesu Kellermann wrócił do hotelu i zamówił rozmowę z Brukselą. Po prawie godzinnym oczekiwaniu uzyskał połączenie.

– Halo, Christine? Tu Robert. Mówię z Warszawy.

– Ach, dzień dobry! Nie spodziewałam się, że jeszcze pamiętasz...

– Jakże mógłbym zapomnieć?! Co w biurze?

– Normalnie. Słyszałam tylko trochę plotek na twój temat, a właściwie komentarzy dotyczących twojego wyjazdu.

– Jakie mianowicie?

– No.... że musiałeś się nieźle przysłużyć szefowi. I jeszcze, że musisz mieć chyba bardzo wpływowych

przyjaciół. Ale to wszystko pewnie z zazdrości, co?

– Bzdura, kochanie. Nie przejmuj się tym. Słuchaj uważnie. Mam do ciebie prośbę. Skontaktuj się koniecznie z Ianem, pozdrów go ode mnie i powiedz, że na razie się rozglądam; ale widzę już pewne możliwości zebrania zamówień. Zapamiętasz?

– A co tu jest do zapamiętania? Oczywiście przekażę. A nie będziesz zazdrosny, jeśli troszeczkę z nim poplirtujesz?

– Jeśli w granicach przyzwoitości, to pozwalam. Chociaż mam wątpliwości, czy tak bardzo zależy ci na moim pozwoleniu. No, muszę kończyć. Nie zapomnij skontaktować się z Ianem i powtórzyć mu, co mówiłem. Zadzwonię jeszcze do ciebie. Do zobaczenia.

Po zakończeniu rozmowy Robert połączył się z recepcją i poprosił o załatwienie wypożyczenia na kilka dni jakiegoś samochodu.

Zgodnie z umową po trzech dniach stawił się w sekretariacie dyrektora Mieczysłowskiego.

– Proszę, niech pan spocznie – sekretarka, elegancka kobieta w średnim wieku, wskazała wygodne fotele, stojące przy stoliku pod okazałą palmą. – Za pięć minut dyrektor pana przyjmie.

– Istotnie – Kellermann spojrzął na zegarek. – Zjawiłem się trochę za wcześnie. Ale to wina mojej chwilowej niezaradności, jeśli chodzi o warszawską

komunikację – zastrzegł się z uśmiechem.

Ledwie zdążył usiąść i sięgnąć po jeden z leżących na stoliku magazynów, drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich niski, łysawy mężczyzna w ciemnoszarym, nienagannie skrojonym ubraniu.

– Pan Kellermann – zaanonsowała sekretarka.

– Witam pana, proszę – dyrektor Mieczysław przepuścił przodem gościa.

Kiedy usiedli, Kellermann wyjął wizytówkę.

– Pozwoli pan, panie dyrektorze, że jeszcze raz się przypomnę. Mam w Warszawie reprezentować interesy firmy, która dotychczas nie figurowała na liście zagranicznych przedsiębiorstw współpracujących z Polską. A ponieważ trzeba od czegoś zacząć, poprosiłem pana o spotkanie i jeszcze raz za to dziękuję.

– Doskonale, panie Kellermann – dyrektor odłożył wizytówkę na stolik. – Myślę, że da pan sobie świetnie radę. Z pana piękną polszczyzną... Ale czym możemy panu służyć? Orientacyjnie oczywiście.

– Tak, naturalnie – Kellermann odchylił się nieco w fotelu. – Chciałbym zbadać, jeśli to możliwe, niektóre eksportowe oferty panów. Wasza chemia jest znana w świecie. W grę wchodziłyby może półfabrykaty i pewien asortyment gotowych wyrobów. Ja mógłbym zaoferować urządzenia i wyposażenie dla waszych laboratoriów, a także technologie. – Widząc, że dyrektor

poruszył się, dodał pospiesznie: – Mam już pewne rozeznanie, wycinkowe oczywiście, niektórych waszych potrzeb. Rozmawiałem na ten temat z waszym radcą handlowym w Brukseli. Moja firma jest bardzo prężną spółką i zależy nam na zbadaniu możliwości wejścia na polski rynek.

– To bardzo cenne. Ale wracając do pana propozycji. Byłbym zobowiązany, gdyby pan zechciał przedstawić je nam na piśmie w formie merytorycznego, już bardziej konkretnego materiału. Po rozpatrzeniu przez naszych specjalistów skontaktujemy się z panem.

– Zgoda, panie dyrektorze. Czy na początek byłoby możliwe, żebym uzyskał zezwolenie na przeprowadzenie rozmów również w... w grupie branżowej...

– W zjednoczeniu?

– Właśnie. I może mógłbym obejrzeć jakiś zakład?

– Czy któryś pana specjalnie interesuje?

– Nie, oczywiście nie. Polegam na pana wyborze.

– No cóż – dyrektor sięgnął po notatnik. – Mógłbym panu ułatwić rozmowę w zjednoczeniu w Płocku. Niedaleko od Warszawy. A co do zakładu, to również nie widzę przeszkód. Jak tylko nadarzy się sposobność, moja sekretarka poinformuje pana. Ale na to musimy uzyskać zgodę ministerstwa, co może trochę potrwać. Sądzę jednak, że czas pana specjalnie nie nagli. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia w sprawie dalszej współpracy.

– Ja również, panie dyrektorze. Jestem niezwykle zobowiązany...

Rano Kellermann nie spieszył się zbyt z wstawaniem. Po dokonaniu toalety wyciągnął się jeszcze na łóżku i nastawił radio. Z przyjemnością słuchał cichej muzyki. Pomyślał z zadowoleniem, że teraz sam decyduje o swojej dyscyplinie pracy. Przywileje szefa. Cicho zabrzączał aparat telefoniczny. Leniwie sięgnął po słuchawkę.

– Ja w związku z ogłoszeniem w gazecie. Czy w dalszym ciągu szuka pan sekretarki ze znajomością języka francuskiego. Posługuję się tym językiem także w piśmie. – Głos w słuchawce był spokojny, opanowany, brzmiał trochę intymnie i subtelnie. Robert przez chwilę żałował, że już zaangażował sekretarkę. Po krótkim milczeniu wypowiedział jednak stereotypową w tym wypadku formułkę:

– Niestety, proszę pani, sprawa jest już nieaktualna.

– A czy osobista znajomość z szefem nie może tu pomóc? – tym razem rozmówczyni mówiła po polsku, a w głosie jej drgały nutki rozbawienia.

– Serdecznie witam panią, Małgorzato – ucieszył się Kellermann. – Widzę, że popełniłem już pierwszy błąd. Pospieszyłem się zbyt angażując sekretarkę. Przynajmniej, że w przyszłości nie będę już działał tak pochopnie...



– A ja – przerwała Małgorzata – przyrzekam sobie, że nie będę czytała gazet z opóźnieniem i zwlekała z telefonowaniem.

– Przyrzeczenia zostały wypowiedziane, ale stratę poniosłem wyłącznie ja – westchnął Kellermann.

– Żal kupca czy mężczyzny?

– Kupcy, pani Małgorzato, też są mężczyznami. Można więc mówić o stracie poniesionej przez obydwo. Jeżeli jednak widzi pani we mnie przede wszystkim kupca, łatwiej mi będzie prosić o rekompensatę w związku z poniesionymi stratami. Proszę więc o spotkanie.

– Z handlowcem należałoby się spotkać w godzinach przedpołudniowych i raczej w jego biurze. Z mężczyzną po południu na spacerze. Co usłyszę od mężczyzny?

– Mężczyzna za godzinę otrzyma kluczyki od wozu i jest do pani dyspozycji.

– Świetnie – odparła Małgorzata. – Jeśli pan nie ma nic przeciwko małemu wypadowi za miasto, za pół godziny będę w kawiarni w pana hotelu.

Prezentowali się świetnie, zwracali powszechną uwagę i wyraźne zainteresowanie. Kellermann w jasnoniebieskim letnim ubraniu, Małgorzata w kremowej, o modnym sportowym kroju sukience, z błękitną opaską na swobodnie spuszczonej włosach. Oboje opaleni, doskonale dopasowani wzrostem. Przypadek nawet

sprawił, że do ich strojów pasował idealnie kolor wozu Kellermanna. Pierwsza dostrzegła to Małgorzata, i, nie mogąc się powstrzymać, spoglądała to na wóz, to na swoją sukienkę.

– Prawda, jak to się szczęśliwie złożyło? – uśmiechnął się, kiedy zajęli miejsca w samochodzie.

– Istotnie, dziwny przypadek – wzruszyła ramionami dziewczyna, starając się tym gestem pokryć zadowolenie. – Wyglądamy teraz jak z prospektu reklamowego.

– Powiedziałbym raczej, że to bardzo miły przypadek. W oczach przechodniów będziemy uchodzili za doskonale dopasowaną parę. Ale czy to pani w niczym nie przeszkodzi?

– Jeśli w ten sposób chciał pan się dowiedzieć, czy mam narzeczonego, to odpowiadam: jestem wolna i niezależna pod każdym względem i zawsze zwykłam robić to, na co mam ochotę. Ale niech pan uważa, zaraz będziemy skręcali w lewo. Tak, dobrze. Za pół godziny będziemy w Żelazowej Woli. Czy mam panu opowiedzieć, co tam jest?

– Wczoraj wieczorem studiowałem przewodniki po Warszawie i okolicach. Czytałem i o Żelazowej Woli. Teraz wciałbym usłyszeć o Warszawie to, czego nie ma w przewodnikach, coś o jej mieszkańcach obyczajach, o pani...

– Warszawę i jej mieszkańców pozna pan wkrótce

sam. Mam nadzieję, że od najlepszej strony. A jeśli chodzi o mnie, to moje życie nie jest skomplikowane. Mieszkam wspólnie z bratem inżynierem, z którym jako tako się zgadzamy, a w każdym razie staramy się nie wchodzić sobie zbyt często w drogę. Codziennie kilka godzin spędzam w pracowni. Mam trochę znajomych, przyjaciół, drobne sukcesy i niepowodzenia w pracy. To wszystko. Widzi pan, jakie to w gruncie rzeczy prozaiczne, nawet banalne.

– Rozpatrując życie w ten sposób, wszyscy mają prawo do narzekania na tę prozę, jak to pani określiła. Wydaje mi się jednak, że artyści mają więcej niż inni takich momentów w życiu, które dostarczają im szczególnych emocji i wrażeń...

– Tak się na ogół sądzi i tak pewnie bywa, ale nie dotyczy to mało znanych malarek – roześmiała się Małgorzata.

– Cóż wobec tego mogą powiedzieć o sobie niedoświadczeni handlowcy?

– Nie wiem – odpowiedziała z powagą.

## 4.

Major Mirski był tego dnia w dobrym humorze. Żona przed dwoma dniami obroniła pracę magisterską, kończąc z wyróżnieniem studia przerwane przed kilkoma laty w związku z urodzeniem Doroty, a i on miał

także swoje osobiste powody do czegoś w rodzaju triumfu. Kierowany przez niego wydział zakończył właśnie sprawę oznaczoną kryptonimem „Waldemar”. Aresztowanie agenta obcego wywiadu w momencie gdy przejmował materiały od swego informatora, po operatywnym rozszyfrowaniu systemu łączności i rozeznaniu wszystkich osób występujących w sprawie, było w dużej mierze jego osobistą zasługą popartą umiejętnością współpracy z podwładnymi. Właśnie to podkreślił wczoraj szef podczas wręczania nagród.

Zakończenie sprawy „Waldemar” było sprawdzianem, niejako egzaminem Mirskiego. Będąc najmłodszym wiekiem i stażem wśród szefów wydziałów, doszłusował w ten sposób do grupy starych wygów wojskowego kontrwywiadu.

Rozmyślenia te przerwał nagle dzwonek telefonu bezpośredniej łączności z szefem.

– Melduje się major Mirski.

– Przesyłam wam teczkę z materiałami. Zapoznacie się z nimi jeszcze dziś. Na jutro jesteście umówieni z majorem Gierszewskim ze Służby Bezpieczeństwa, który wie już, o co chodzi. Ustalcie z nim szczegóły współpracy. Żadnych wytycznych i wskazówek wam nie przekazuję. Upoważniam was do korzystania z dostępnych nam środków technicznych i finansowych. O istotnych szczegółach, ale tylko istotnych, meldujcie mi osobiście bez względu na porę. Powodzenia – szef odłożył słuchawkę.

Po chwili sierżant przyniósł zalakowaną kopertę.

– Proszę pokwitować odbiór. Dziękuję. – Sierżant opuścił pokój tak samo cicho, jak się zjawił.

Mirski rozerwał kopertę. Ukazała się dość gruba teczka z aktami.

W godzinę później w pokoju Dębskiego zadzwonił telefon. Dzwonił podoficer dyżurny.

– Za pięć minut odprawa w gabinecie majora Mirskiego.

– Tak jest.

Dębski wstał zza biurka i schował do pancерnej szafy rozłożone dokumenty. Przez moment jeszcze zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Ewy ale po krótkim namyśle zrezygnował z tego zamiaru.

W gabinecie majora był już porucznik Laskowski i jakiś nie znany Dębskiemu cywil. Po chwili major Mirski dokonał prezentacji:

– Major Gierszewski ze Służby Bezpieczeństwa. Będziemy prawdopodobnie pracowali razem – dodał tonem wyjaśnienia – Przystępujemy do sprawy – mówił dalej – Mamy do rozwiązania trudny problem. Znacie, towarzysze, zakłady chemiczne w Iglinach. Od sześciu miesięcy grupa tamtejszych inżynierów prowadzi prace badawcze nad nowym rodzajem masy termoplastycznej, która może znaleźć zastosowanie w różnych dziedzinach gospodarki i prawdopodobnie w wojsku. Jej właściwości nie są w tej chwili istotne, nie jesteśmy

zresztą fachowcami w tej branży. Eksperymenty otczone są tajemnicą i dopóki produkt finalny nie zostanie opatentowany, tylko wąska grupa specjalistów ma prawo o nim wiedzieć. Niestety, pod tym względem nie jest za dobrze. Major Gierszewski uzyskał wiarygodny sygnał, że wywiad wojskowy NATO zdołał przechwyć jakiś świeży przeciek dotyczący prowadzonych u nas prac badawczych. Przypuszczalnie chodzi tu o zakłady w Iglinach. Nie możemy wykluczyć, że do Polski zostanie wysłany ktoś, kto będzie się starał dotrzeć do źródła. Pierwszy sygnał to dla nas dzwonek ostrzegawczy...

– Czy obecność towarzysza majora Gierszewskiego – wtrącił Dębski – oznacza, że za jego pośrednictwem będziemy mogli korzystać z pomocy Służby Bezpieczeństwa?

– Tak – potwierdził Mirski. – I właśnie wam chciałbym tę sprawę powierzyć. Z jednej strony wiemy bardzo dużo, z drugiej właściwie niewiele. Co w tej chwili należy zrobić? Przede wszystkim zająć się zabezpieczeniem zakładu w Iglinach. Jasne, że nie chodzi tu tylko o zabezpieczenie techniczne, lecz także o ludzi. Ponadto zadbamy o szczególną kontrolę przejść granicznych. Nie sądzę, aby dało to jakieś rezultaty, ale sami rozumiecie, że nie możemy niczego zaniedbać. Jeśli nie ma pytań, to dziękuję towarzyszom.

## 5.

Radość Edmunda z telefonu Barbary była tylko udana. Spotykał się z nią dwa razy w tygodniu, jedynie dla utrzymania higieny psychicznej, i wcale nie miał chęci poświęcać jej więcej swego cennego czasu. Słuchając teraz paplaniny o jakimś filmie, który obejrzała w telewizji, zastanawiał się, w jaki sposób wykręcić się od nieuniknionego spotkania, gdy w pewnym momencie zorientował się, że Barbara od dłuższej już chwili mówi o wydarzeniach, jakie miały miejsce u niej w pracy.

– I wyobraź sobie, że taka sama heca wydarzyła się u nas. Ktoś zostawił otwarte okno w pracowni. Szef ochrony szalał, wzywał ludzi na rozmowy, prowadził śledztwo cały dzień.

– Dobrze, dobrze – przerwał jej Edmund. – Co byś powiedziała, gdybyśmy wypuścili się do jakiejś knajpki na kolację? Potem może gdzieś potańczymy albo przyjdziemy do mnie.

– Jesteś cudowny! Potrafisz wyczuć myśli i chęci kobiety – Barbara przeszła na pieszczotliwy ton, który Edmund znał aż za dobrze.

– To się przygotuj – przerwał bezceremonialnie. – Będę u ciebie za czterdzieści minut.

Czekała w oknie i zbiegła natychmiast, kiedy wóz ukazał się na zakręcie ulicy. Nigdy nie wchodził na górę, do jej mieszkania; starał się nie przedłużać

niepotrzebnie pożegnań, a właściwie uniknąć wysłuchiwania jej „intelektualnych” wynurzeń. Poza tym nie miał najmniejszej ochoty na rozmowy z jej rodzicami, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, aby w jego osobie znaleźć zięcia.

Swoją drogą – pomyślał obserwując zbliżającą się do samochodu dziewczynę, gdyby miała trochę więcej rozsądku, to niejedyn mężczyzna nawet by się nie bardzo zastanawiał. Ostatnio Barbara zanudzała go nowym problemem. Jej marzeniem życia, jak powiedziała, stał się wyjazd za granicę. Znaczyło to, dla niej oczywiście, wyłącznie Zachód. Mówiła o tym, jak byłoby cudownie zostać żoną dyplomaty lub ostatecznie handlowca z perspektywą długiego angażu na Zachodzie. Starła się delikatnie sugerować Edmundowi, by zakrzątnął się lepiej wokół własnych spraw i poprosił szefów o wysłanie go z ramienia „Chemexu” do Francji. Już się widziała na Lazurowym Wybrzeżu, w luksusowych apartamentach. Jak dotąd, Edmund zbywał te jej wynurzenia z nieukrywaniem lekceważeniem, miał bowiem, jeśli chodziło o własną przyszłość, zupełnie inne plany.

– Dokąd zawiesziesz swoje kiciątko? – zapytała przytulając się do niego tak, że prawie przycisnęła go do drzwi.

– „Pod Basztę”? – pytanie zabrzmiało raczej jak stwierdzenie. By uprzedzić dalsze prawdopodobnie czułości, rzucił: – Mówiłaś, kochanie, że ktoś zostawił otwarte okno?



Barbara wolałaby wprowadzić porozmawiać o zagranicy, ale wiedziała, że Edmund interesował się zakładem, w którym pracowała. Wyjaśnił jej kiedyś, że wiadomości te potrzebne mu są w jego pracy w centrali handlowej.

– Wiesz, podobno wysmażyli tam jakąś masę, czy coś w tym rodzaju. Rzecz rewelacyjna. Ponoć znacznie lepsza od tego, co mają na Zachodzie. Wszystko, rzecz jasna, to wielka tajemnica. Gdyby ktoś szepnął słówko...

– No więc, co było dalej? – zniecierpliwiał się Edmund.

– Właśnie mówię – obraziła się. – Tylko ty mi nie dajesz dojść do słowa. Przesłuchiwali ludzi. Wielkie halo o nic. Całe szczęście, że mnie się nie czepiali. Chyba dlatego, że mój pokój jest trochę za daleko.

– To ładnie z ich strony, że nie mieli do ciebie pretensji – uśmiechnął się.

– Do mnie? O co? Przecież ja tam nie pracuję. Wpadam czasem do nich na kawę. A rozmawiam o tym tylko z tobą. Zresztą, co to nas wszystko obchodzi? Kiedy wreszcie otrzymasz posadę za granicą i razem wyjedziemy...

– Masz rację, ale człowiek powinien wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Nie musisz zadawać zbędnych pytań, ale dobrze byłoby posłuchać, co mówią inżynierowie... W naszej branży należy interesować się wszystkim. Każdą zmianą, każdym postępem.

– Wiem, wiem. Już mi o tym mówiłeś. Toteż mam

oczy i, uszy otwarte i wszystko ci powtarzam. Wcale nie jestem gapą.

Edmund skrzył w prawo i zatrzymał samochód na parkingu przed restauracją.

– Dość o wynalazkach. Teraz znajdziemy sobie jakiś zaciszny kącik, wybierzemy coś dobrego, potańczymy, a potem wstąpimy do mnie.

## 6.

Wróciwszy rano z dwudniowej podróży do Krakowa i Oświęcimia Kellermann wywiesił na drzwiach kartkę z napisem „nie przeszkadzać”, poprosił w centrali, by nie łączono z nim żadnych rozmów, i zamówił budzenie za cztery godziny.

Od piętnastej do dziewiętnastej przesiedział za biurkiem porządkując notatki i robiąc uwagi na marginesach.

Rozmowy w Krakowie dały nadspodziewanie dobre wyniki. Kellermann jadąc tam wiedział, że dotychczasowe pertraktacje strony polskiej w sprawie dostaw urządzeń z Francji utknęły na martwym punkcie. To rozeznanie pozwoliło mu zaproponować kontrakt z angielską firmą „Flexible” reprezentowaną przez CCI. Oferowane ceny były wprawdzie nieco wyższe od francuskich, ale termin dostawy urządzeń był bardzo krótki, a na tym zakładom w Krakowie zależało najbardziej.

Kontrahent polski przyjął więc ofertę z nieukrywaną radością. Kellermann natychmiast po rozmowach wysłał teleks do Brukseli podając dane niezbędne do przygotowania umowy.

Ukończywszy załatwianie korespondencji, którą przygotowała mu sekretarka, napisał sprawozdanie dla firmy i zjechał na dół. Miał zamiar pospacerować po mieście.

W hallu jak zwykle było sporo ludzi, słychać było różnojęzyczne rozmowy.

Kellermann zrobił już kilka kroków w kierunku recepcji, kiedy nagle spostrzegł stojącego w pobliżu mężczyznę i uświadomił sobie, że widział już kiedyś tego człowieka. Wydało mu się nawet, że na jego widok mężczyzna odwrócił się powoli i zaczął z zainteresowaniem przeglądać trzymany w ręce kolorowy magazyn. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia siedem lat, ubrany był bardzo przeciętnie, nie wyróżniał się niczym spośród innych ludzi. Kellermann wiedział jednak, że mógł zaufać swojej pamięci. Zaniepokoił się nieco, ale nie chciał i nie mógł okazać stanu swoich uczuć. Podeszedł spokojnie do lady recepcji, położył klucz od pokoju i powiedział trochę głośniejszym głosem niż zwykle:

– Wychodzę na dłużej. Gdyby ktoś o mnie pytał, proszę zostawić mi wiadomość.

– Tak jest, proszę pana – recepcjonista uklonił się z szacunkiem.

Kellermann skinął głową, odwrócił się obojętnie i wolnym krokiem wyszedł przed hotel. Na podjeździe

stało kilka taksówek. Podszedł do trzeciej z kolei, otworzył drzwi i pochylił się w stronę kierowcy. Kątem oka spostrzegł „znajomego” z hallu zmierzającego do pierwszej taksówki. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Kierowca odłożył gazetę i włączył stacyjkę. Kellermann, ciągle nie wsiadając, spytał:

– Chciałbym pojechać do Wilanowa i pobyc tam z godzinę. Ile to będzie kosztowało?

– Razem z czekaniem i jazdą z powrotem dziesięć dolarów – odparł bez namysłu kierowca. – Już jedziemy?

– Nie, to dla mnie za drogo. – I nie zwracając już uwagi na kierowcę, który chciał coś powiedzieć, wyprostował się i zatrzasnął drzwiczki. Pierwsza taksówka właśnie powoli ruszyła, uwożąc swego pasażera w kierunku Marszałkowskiej. Wtedy Kellermann odwrócił się spokojnie i wrócił do hotelu. Napotkawszy pytające spojrzenie recepcjonisty uśmiechnął się:

– Zmieniłem zamiar. Będę w barze.

Usiadł na stołku, zamówił coś do picia i zapaliwszy papierosa zamyślił się. Scena sprzed kilku minut, w której odegrał tak czynną rolę, napełniła go lekkim niepokojem. Z siebie właściwie mógł być zadowolony. Wypadło to wszystko dosyć naturalnie. Gdyby wypytywano kierowcę, powie on na pewno, że jego rozmówca chciał sobie urządzić małą wycieczkę i rozmyślił się. Ale ten młody człowiek nie okazał się zbyt sprytny. Mógł zaczekać, aż wsiądę i odjadę. Trochę się

pospieszył. Dostanie mu się pewnie od szefów.

Po dłuższej chwili takich rozmyślań Kellermann doszedł do wniosku, że na razie nie ma powodów do niepokoju. To, że milicja obserwuje czasem cudzoziemców w hotelu, to w końcu nic szczególnego. Tak robią wszyscy. On zachowuje się poprawnie, nie kryje się z rozmowami i kontaktami, które mają charakter jak najbardziej oficjalny. W hallu musiał pozostać jeszcze jeden człowiek – pomyślał nagle. Nie szkodzi. Nie będę robił żadnych kawałów. Muszę tylko zacząć bardziej uważać, postanowił.

W pewnej chwili siedzący obok mężczyzna, na którego ledwie zwrócił uwagę wchodząc do baru, trącił go lekko łokciem. Spojrzał na sąsiada z niechętnym zdziwieniem. Twarz tamtego rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Fred Lorren – wyciągnął rękę. – Przepraszam bardzo, ale obserwuję pana od kilku minut. Ponieważ wydaje mi się pan smutny, przyjacielu, pomyślałem sobie, że nie mogę pozwolić marnować się człowiekowi.

– Ależ... – próbował oponować Kellermann.

– Wszystko wiem! – zawołał Lorren. – Barman! Jeszcze dwie podwójne! Sam przez to przechodziłem. Pan jest młody, przyjacielu, ale Fred Lorren kochał się nieraz w swoim życiu. Co ja mówię! Kilkanaście razy. Może pan wierzyć staremu człowiekowi. Doświadczoneму człowiekowi, który zna kobiety. Pańskie zdrowie!

– Panie Lorren – odezwał się wreszcie Kellermann – dziękuję za troskę o stan moich uczuć, ale zapewniam, że pan się myli. Wstąpiłem tu po prostu na jednego, gdyż przez ostatnie dni dość solidnie pracowałem. I pomyślałem sobie, że zasłużyłem na szklaneczkę.

– Interesy... Rozumiem. Ja też jestem w Warszawie słuźbowo. Z ramienia amerykańskiego banku handlowego. Niedawno odbyły się tu rozmowy na szczeblu szefów, a obecnie ja jako członek grupy roboczej pracuję nad konkretyzacją tych rozmów. Czy pan jest Anglikiem, panie...

– Kellermann. Nie. Jestem Austriakiem, a reprezentuję Cooperation Chimique Internationale.

– Otóż to. Polska zaczyna być poważnym partnerem... Zwłaszcza w dobie odprężenia i...

– Nie interesuje mnie polityka – przerwał Kellermann. – Wy, Amerykanie, macie nieznośny zwyczaj podkładania jakichś teorii pod zwykłe robienie pieniędzy. Dla mnie handel jest tylko handlem, niezależnie od warunków... To już lepiej porozmawiajmy o kobietach. Jak pan powiedział...? Aha, że zna pan kobiety. Napije się pan? Teraz ja stawiam. To zabawne, ale naprawdę nie był pan tak daleki od prawdy, a zaprotestowałem dla zasady. Otóż, jak wspomniałem, cel mojego pobytu w Warszawie jest wyłącznie handlowy. Jestem pierwszy raz w tym kraju i przyznam, że jeszcze wielu rzeczy tu nie rozumiem.

– Jeśli chodzi o mnie, to już prawie się zadamowiłem.

Jeżeli można tak powiedzieć mieszkając w hotelu. Chociaż, biorąc rzecz od strony prywatnej, raczej się nudzę.

– Właśnie. Ja też. Wprawdzie nie zamierzam pozostać tu zbyt długo, ale spodziewam się, że upłynie rok lub dwa nim nasza firma rozkręci swoje interesy i wejdzie solidnie na tutejszy rynek. Tymczasem nie narzekam na nadmiar rozrywek. Chociaż na początku zapowiadało się dość interesująco... Ale może pana to nudzi?

– Nie, przeciwnie. Proszę, niech pan opowiada.

– Poznałem w drodze do Polski pewną dziewczynę. Ładna, interesująca, inteligentna. Malarka. Bawiła mnie przez jakiś czas ta znajomość. Ona zapraszała mnie na spacer, na wycieczki, ja ją na obiady, aż...

– Aż się pan z nią przespał?

– Tak. I myślałem, że tę formę naszej znajomości będziemy kontynuowali bez jakichś zobowiązań. Że będzie po prostu zabawnie. Tymczasem ona nie tylko zakochała się we mnie, ale wszystko wskazuje na to, że upatrzyła mnie sobie na męża. Skądinąd to osoba bardzo ambitna i nie okazuje tego wprost, ale jest stanowcza i konsekwentna, a ja widzę, jak zmierza do tego celu. Rozumie pan chyba, że nie bardzo mogę sobie pozwolić na wplątanie się w matrymonialną kabałę.

– Rozumiem – Lorren wychylił kolejną szklaneczkę. – Co ma pan zamiar zrobić?

- Właśnie nie bardzo wiem, jak z tego wybrnąć.
- To ja panu poradzę. Powiedz jej, przyjacielu, że jesteś żonaty, ale że jest z nią panu bardzo dobrze. O ile znam kobiety, powinno to ją skutecznie przepłoszyć.

Kellermann spojrzał na zegarek. Robiło się późno. Ruchem ręki przywołał barmana, chcąc uregulować rachunek. Kiedy sięgnął po portfel, hałas za plecami zmusił go do odwrócenia się. Do baru wkroczyły trzy roześmiane dziewczyny w towarzystwie... Kellermann przez chwilę nie wierzył własnym oczom, ale nie mogło być mowy o jakiegokolwiek pomyłce. Obejmując jedną z dziewczyn do baru wchodził, „znajomy”, którego pozbył się przed dwiema godzinami przed hotelem.

Odwrócił się i wyjął spokojnie banknoty z portfela.

– Klasa, co? – barman uczynił ruch głową w kierunku nowo przybyłych, którzy tymczasem zajęli stolik w głębi. – Pan Wojtek wie, kogo podrywać.

– Pan Wojtek? – powtórzył Kellermann. – To pana znajomy? Reszty nie trzeba.

– Dziękuję szanownemu panu. Tak, znam go doskonale. To nasz stały gość. Gdyby pan miał jakieś sprawy – dodał pochylając się nieco – wie pan, kupno, sprzedaż, antyki, to mógłbym go polecić. Dyskrecja i solidność...

Kellermann miał ochotę głośno się roześmiać.



– Może kiedyś skorzystam – mruknął.

Nazajutrz obudził się dość późno. Leżał przez chwilę nieruchomo i nie otwierając oczu usiłował zgadnąć, gdzie się znajduje. Na razie uświadomił sobie jedynie, że boli go głowa i czuje ogromną suchość w gardle. Zaczął powoli przypominać sobie wydarzenia ubiegłej nocy.

Opiekuńczy Fred skłonił go do pozostania w barze. Przenieśli się do stolika, gdzie kazali sobie podać całą butelkę whisky. Następnie zaprosili do towarzystwa, najpewniej nie bez pośrednictwa barmana, pana Wojtka z jego trzema dziewczynami. Potem kilka razy zmienili lokal, by wreszcie wylądować w mieszkaniu Niny. Tam jeszcze pili, były jakieś tańce, ktoś się rozbierał... Nie pamięta, w jaki sposób znalazł się w hotelu.

Uspokojony, przynajmniej co do tego, że znajduje się u siebie, wstał z łóżka i trochę chwiejnym krokiem powędrował do łazienki. Wziął prysznic, ogolił się, po czym zadzwonił po śniadanie. Zmusił się do przełknięcia jajka, ale dopiero dwie filiżanki kawy poparte łykiem alkoholu znacznie poprawiły jego samopoczucie.

Owinięty płaszczem kąpielowym wyciągnął się ponownie na łóżku i zapalił pierwszego papierosa. Stojący obok telefon zaterkotał cichym matowym głosem. Odczekał kilka sekund, wreszcie niechętnie sięgnął po słuchawkę.

– Tak. Słucham – mruknął nie wyjmując z ust papierosa.

– Robert? – głos Małgorzaty brzmiał dość niewyraźnie. Przez chwilę miał ochotę powiedzieć, że pomyłka, tak bardzo nie na rękę była mu ta rozmowa.

– A, dzień dobry, jak się miewasz?

– Dziękuję za łaskawe zainteresowanie. Dobrze. Wczoraj kilka razy dzwoniłam. W recepcji powiedziano mi, że prawdopodobnie wyjechałeś.

– To się zgadza. Takie jest życie człowieka interesu...

– Mogłabym do ciebie przyjść?

– Przepraszam cię, kochanie, ale jestem całkowicie wykończony po tej podróży. Nudziłabyś się ze mną.

– Przecież wiesz, że nigdy się z tobą nie nudzę. Moglibyśmy przynajmniej porozmawiać.

– Może wobec tego w piątek?

– Och, Robercie, to przecież prawie cały tydzień!

– No, nie przesadzaj, tylko trzy dni. Widzisz, jutro muszę znów wyjechać. Dyrektor Mieczysławski, wiesz, ten z „Chemexu”, załatwił mi wreszcie wizytę w zjednoczeniu w Płocku. Ta sprawa była już dawno planowana i bardzo mi na niej zależy. Obawiam się, że będę musiał zostać tam na jakieś dwa, trzy dni.

– Wiesz co? Przypomniałam sobie, że dawno w Płocku nie byłam. Mogłabym zrobić trochę szkiców, połączyć po okolicy. Nie przeszkadzałabym ci...

– Nie o to chodzi, nie ma mowy o przeszkadzaniu, ale ja będę zajęty całe dnie, a i wieczorem prawdopodobnie także. Rozumiesz, trzeba tych ludzi zaprosić

na obiad lub na jakiś kieliszek. Lepiej się rozmawia. Jeśli to ci nie przeszkadza, to ostatecznie...

– Strasznie się cieszę! Przygotowania nie zajmą mi dużo czasu. Jutro o ósmej rano będę czekała na dole, dobrze?

– W porządku.

Robert odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi. Był zły na siebie, że nie potrafił użyć właściwych argumentów, by, nie dopuścić do tego wyjazdu we dwoje. Czyżby nie usiłowała zachować już żadnych pozorów?

Następnego dnia za piętnaście ósma Kellermann wyszedł, by przyprzewodzić samochód z parkingu. Małgorzata czekała już w hotelowym hallu. Podniosła się z fotela i podeszła bardzo blisko.

– Wstałam bardzo wcześnie – powiedziała nieśmiało. – Nie mogłam się, prawdę mówiąc, doczekać tego wyjazdu. Jak małe dziecko – spróbowała się uśmiechnąć. – Nie gniewasz się?

– Ależ... – zachnął się; stwierdził, że obsługa recepcji przygląda się im z zaciekawieniem. – Skoro już jesteś, nie traćmy czasu..

O tej porze ruch za miastem nie był jeszcze duży, więc Kellermann nie ograniczał prędkości. Prowadził pewnie, lekko trzymając kierownicę, trochę pochylony do przodu. Tuż za Wyszogrodem szosę przegradzała pasiasta bariera z tablicą wskazującą kierunek i schemat objazdu. Skręcił w prawo. Niełatwo teraz było prowadzić samochód. Droga wiła się trochę wśród łagodnych

fałd moreny dennej, potem wjechali na długie proste wzniesienie, a jeszcze dalej zaczął się zjazd. Widoczność była doskonała. Dachy dwóch osad leżących daleko przed nimi błyszczały matowo, jakby za mgłą. Z przeciwka nadjechał traktor z przyczepą wyładowaną kostkami trylinki i minął ich w chmurze pyłu. Trzej mężczyźni w drelichowych ubraniach przejechali obok na rowerach. Odwrócili z zaciekawieniem głowy w stronę samochodu. Jechali gdzieś do pracy, chyba w lesie. Świadczyły o tym siekiery i piła przymocowane do ram. Na bagażnikach rowerów wieźli teczki z wystającymi zakrętkami termosów.

Samochód przejechał przez pierwszą osadę, potem przez drugą. Objazd skończył się. Wyboista droga przeszła w równe, lśniące pasmo asfaltu. Znów byli na właściwej trasie.

Małgorzata siedziała wyprostowana, z rękami równo ułożonymi na kolanach. Kellermann kątem oka spostrzegł jej spokojny, nieco wyniosły profil. Zagryzała usta. Tylko od czasu do czasu automatycznym ruchem odwracała głowę w lewo lub w prawo, spoglądając na uciekające do tyłu drzewa, domy. Chwilami, gdy ostrzeż brał zakręt, siła odśrodkowa przyciskała ich do siebie. Wtedy Małgorzata odrywała prawą rękę od kolana i przytrzymywała się uchwyty na drzwiach, po czym jej dłoń wędrowała na swoje miejsce.

Spojrzał na zegarek:

– Mimo tego objazdu, nic nie straciliśmy. Mamy jeszcze sporo czasu. Może byśmy gdzieś wstąpili? Tam w skrytce jest mapa. Zobacz, czy nie ma czegoś w pobliżu.

Małgorzata bez słowa sięgnęła we wskazane miejsce, v Chwilę szukała w atlasie właściwej strony.

– Jest tu gospoda czy restauracja wiejska. Musimy zjechać z szosy w kierunku Wisły. Będzie jeszcze z pięć kilometrów.

Gospoda okazała się całkiem schludna. Na jej urządzenie właściciel przeznaczył część domu i spory ogródek. Weszli przez pomalowaną na zielono furtkę. Kwadratowe chodnikowe płytki ułożone w trawie tworzyły coś w rodzaju tarasu. Białe obrusy na pięciu stolikach lśniły czystością. Wszystko razem wyglądało zachęcająco. Podszedł właściciel, tęgi człowiek w kucharskiej czapce na głowie.

– Witam państwa. Nakryjemy może pod winoroślą. Proszę. – Już prowadził do stolika ustawionego pod drewnianą kratą gęsto pokrytą pędami wina. – Mamy lina w galarecie i swojej roboty szynkę.

Po udzieleniu tej informacji oddalił się, nie czekając na odpowiedź, uważał widocznie, że obydwie propozycje zostały zaakceptowane. Trochę oszołomieni zajęli miejsca.

– Co on miał na myśli, mówiąc o szynce swojej roboty? – zapytał Robert.

– Zaopatruje się widocznie u okolicznych rolników

w mięso i sam produkuje wędliny. To dość częsty zwyczaj, stąd takie restauracje cieszą się dużą popularnością. Wydaje mi się, że możemy mu zaufać.

– Taki tu spokój – odezwał się Robert. – Prawie sielanka. Odnoszę wrażenie, że czas się zatrzymał.

– Ja czuję to zawsze, kiedy jesteśmy razem. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Chyba dopiero przy tobie odnalazłam sens życia. To śmieszne, prawda? – spojrzała na niego, jakby oczekiwała zaprzeczenia.

Te słowa wypowiedziane z takim przekonaniem i zaufaniem ukłuły go mocniej, niż przypuszczał. Wzdrygnął się mimowolnie, kiedy jej ręka spoczęła na jego ramieniu. Nagle wydał się sobie mizernym oszustem. Ogarnął go wstręt do tego wszystkiego, do siebie, do niej, do tej sytuacji, z której nie potrafił znaleźć wygodnego wyjścia.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Początkowo Kellermann, pragnąc rozładować atmosferę, stał się nagle wesoły, zaczął opowiadać o Brukseli, silił się na dowcipy. Małgorzata niby słuchała z zainteresowaniem, niby śmiała się z tych dowcipów, ale odpowiadała tak powściągliwie i z taką rezerwą, że rozmowa w końcu urwała się.

W mieście Kellermann zwolnił.

– Musisz teraz mnie pilotować – uśmiechnął się. – Jestem po raz pierwszy w tym mieście i nie wiem, czy nie zabłądzę. Posłuchaj – dodał po chwili otaczając

jej plecy ramieniem. – Mam zamówiony pokój w hotelu „Orbisu”. Jeśli zechcesz, poproszę moich kontrahentów, aby i tobie zamówili pokój. Nie chciałbym, żebyś czuła się skrępowana czasem i moimi zajęciami. Kiedy już załatwisz swoje sprawy, możesz wrócić do hotelu. Jeśli zdołam, spotkamy się tam wieczorem. Zgoda?

– Dobrze. Ale nie musisz zbytnio przejmować się moją osobą. Dam sobie doskonale radę. Pozwolisz, że teraz wysiądę. Do zjednoczenia masz jeszcze pięćset metrów prostej drogi. To zaraz za tamtym domem z wieżyczką. Poznasz po dużym parkingu.

Przechyliła się przez oparcie fotela, sięgając po torbę leżącą na tylnym siedzeniu. W tym ruchu jej piersi zarysowały się bardzo wyraźnie pod akrylowym sweterkiem. Odwrócił wzrok.

Wysiadła i oddaliła się spokojnym krokiem, kołysząc niedbale torbą. Przeszła przez jezdnię i po chwili zniknęła mu z oczu w gęstniejącym tłumie przechodniów.

Z trudem znalazł miejsce na parkingu przed biurowcem. Ukończył manewry wozem, starając się ulokować go na niewielkiej wolnej przestrzeni i wszedł do gmachu. W obszernym hallu spostrzegł tablicę z napisem „Informacja”. Pod nią, za małym biurkiem, siedziała szczupła blondynka w ciemnoszarym kostiumiku. Kiedy podszedł i powiedział swoje nazwisko, dziewczyna natychmiast podniosła się.

– Witam pana – spojrzała na zegar. – Pan dyrektor czeka. Wskażę panu drogę..

Poszli korytarzem i wjechali windą na trzecie piętro. Jego przewodniczka otworzyła drzwi opatrzone tabliczką „Z-ca dyrektora d.s. ekonomicznych”.

– Pan Kellermann do pana dyrektora – poinformowała sekretarkę.

W gabinecie dyrektora Majewskiego oprócz gospodarza było jeszcze trzech mężczyzn. Dyrektor dokonał prezentacji:

– Pan Robert Kellermann przedstawiciel firmy Cooperation Chimique Internationale. A oto panowie: kierownik Biura Studiów i Analiz naszego zjednoczenia, magister Stefan Biegała, pracownik tegoż biura, pan Andrzej Bielski, oraz przedstawiciel centrali eksportowo-importowej „Chemex”, pan Edmund Langner. Proszę, siadajcie panowie.

Zajęli miejsca przy niewielkim stole konferencyjnym.

– Jak panowie wiedzą – zabrał ponownie głos dyrektor Majewski – otrzymaliśmy memoriał pana Kellermanna, a właściwie tę jego część, która dotyczy naszego zjednoczenia. Specjaliści przeanalizowali pana propozycje w świetle naszych możliwości. Wrócimy do tego pod koniec rozmowy. Z pana opracowania wynika, że interesują pana polimery...

– Właśnie. Zaznaczyłem to w rozdziale piątym.

– Otóż to. Jedynie gwoli wyjaśnienia powiem, że



nieprzypadkowo spotkaliśmy się tutaj. Zbudowanie w Płocku nowoczesnej rafinerii stworzyło między innymi, mówiąc najogólniej, podstawy rozwoju przemysłu petrochemicznego, stanowiącego, jak wiadomo, niezbędną bazę surowcową do produkcji wspomnianych polimerów. Pierwsze prace prowadziliśmy opierając się na badaniach własnych oraz wykorzystując technologie uzyskane z innych krajów socjalistycznych. Z ważniejszych prac, które dotychczas zostały zastosowane w przemyśle, wymienię jedynie opracowanie technologii wytwarzania poliestrów nienasyconych, teflonu oraz niektórych żywic i tworzyw poliuretanowych.

– A jak przedstawia się sprawa, jeśli chodzi o przetwórstwo tworzyw sztucznych?

– Prowadziliśmy i prowadzimy badania nad zastosowaniem tych tworzyw do wyrobu części maszyn oraz niektórych prefabrykatów wzmacnianych włóknem szklanym. Na przykład poliestrowe tworzywa sztuczne wzmocnione włóknem szklanym zastosowaliśmy już do budowy łodzi dla strefy ognia i do budowy kutra rybackiego. Największego zresztą w Europie – dodał.

– Pan dyrektor wspomniał o żywicach. Interesowałyby mnie zwłaszcza żywice epoksydowe...

– Oczywiście prowadzimy badania i w tej dziedzinie. Możemy się pochwalić sporymi osiągnięciami.

– Wiem, że opracowaliście technologię wytwarzania termoodpornych odmian żywic epoksydowych.

Czy ten problem mógłby być już teraz przedmiotem rozmów? Orientuję się, że są to oryginalne polskie rozwiązania. Byłbym zainteresowany w odwiedzeniu jednego z zakładów produkujących takie żywice. Dysponuję ofertą firmy holenderskiej budującej urządzenia chemiczne.

– No, nie wiem... – zawahał się dyrektor Majewski. – W tej chwili nie widzę takiego zakładu... Kolego Biegała?

– Istotnie, panie dyrektorze. Trudno teraz powiedzieć.

– Może nadawałby się nasz zakład w Iglinach, panie dyrektorze – wtrącił usłużnie Bielski. – Oni pracują przecież nad termoodpornymi żywicami.

Kellermann patrzący cały czas na dyrektora spostrzegł, że jego szczęki zacisnęły się.

– Kolego Bielski – wycedził. – Wiecie przecież, że w sprawie tych zakładów prowadzimy już pertraktacje. Poza tym pana Kellermanna interesowałyby zapewne większe obiekty, nieprawdaż? My z kolei wolelibyśmy również pochwalić się czymś bardzo nowoczesnym.

– Oczywiście, panie dyrektorze – wyjąkał Bielski i pochylił głowę nad leżącymi papierami.

– Uważam poza tym – dyrektor zwrócił się ponownie do Kellermanna – że obecność pana Langnera będzie nam wszystkim na rękę. Za pośrednictwem reprezentowanej przez niego centrali moglibyśmy sprzedać panu tworzywa sztuczne powlekane niektórymi

metalami. Dysponujemy niezłymi rozwiązaniami w tym względzie. Proponuję, by odwiedził pan, panie Kellermann, taką fabrykę tu, w Płocku. Postaram się o przewodnika dla pana, a i pan Langner będzie z pewnością służył panu pomocą. – Majewski spojrzął na zegarek – No cóż, panowie, niestety zaplanowany czas już minął. Mam następującą propozycję. Pan, panie Edmundzie, zaprowadzi naszego gościa do fabryki, porozmawiacie tam, obejrzyście zakład, a potem, jeśli starczy czasu, pan Kellermann może zwiedzić miasto. O godzinie szóstej proponuję spotkanie w naszym klubie. Zarezerwowałem stolik.

– Właściwie to ja miałem zamiar zaprosić panów na obiad – odezwał się Kellermann. – Pan dyrektor mnie uprzedził.

– O nie! O tym nie może być mowy. Do obowiązków gospodarzy należy zajmowanie się gośćmi. Musi pan przyjąć nasze zaproszenie.

Przed obiadem Kellermann zostawił swego przewodnika w mieście, a sam poszedł do hotelu odświeżyć się i przebrać. W recepcji zapytał o Małgorzatę Zagórską. Recepcjonistka długo wertowała listę gości.

– Osoba o takim nazwisku nie mieszka u nas, proszę pana – oznajmiła wreszcie. – Nie było również rezerwacji.

– Jak to? Zjednoczenie przemysłu chemicznego rezerwowało przecież dodatkowy pokój.

– Ach tak, istotnie. Teraz sobie przypominam. Ta

pani była tu przed godziną. Oświadczyła, że rezygnuje z pokoju, ponieważ musi wracać do Warszawy. Chciała zapłacić, ale rachunek został uregulowany przez rezerwującego.

– Nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości? Nazywam się Kellermann.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie.

Nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim sądzić. W każdym razie w ten sposób sytuacja zostanie rozwiązana i wyjaśniona w sposób niejako naturalny – pomyślał. Po prostu Małgorzata uwolniła go od przykrej konieczności podejmowania decyzji.

Klub znajdował się w niewielkiej salce oddzielonej od reszty kawiarni czymś w rodzaju kurtyny z prostokątnych miedzianych płytek zawieszonych na łańcuszkach. Na dwóch zestawionych w rogu pomieszczenia stolikach stały dwa poroczyki. Kiedy Kellermann wszedł do sali, na miejscu byli już Majewski i Biegała. W dziesięć minut później zjawił się Langner. Wzniesiono pierwsze toasty.

– Jak wypadło zwiedzanie naszego zakładu? – zapytał dyrektor Majewski.

– Muszę powiedzieć, że było bardzo owocne. Przeszło nawet moje oczekiwania. Udało mi się doprowadzić do wstępnego porozumienia na sugerowany przez pana temat. Zamówiłem pewną partię ozdobnych listew do samochodów i drobnych akcesoriów oraz elementy armatury sanitarnej. My dostarczymy wzory matryc,

może nawet same matryce, a reszta będzie już zależała od was. Jednym słowem, jestem całkowicie usatysfakcjonowany.

Kellermann zauważył, że Langner stara się narzucić spore tempo picia. Wychylał jednak każdy nalany kieliszek, myśląc w duchu, że oto przydają mu się „treningi” z Ianem. Majewski i Biegała raczej markowali. Po trzech godzinach pożegnali się i wyszli, życząc dobrej zabawy.

Langner zamówił jeszcze butelkę „Soplicy”, chociaż było widać, że ma już nieźle w czubie.

– No to na zdrowie – podniósł kieliszek. – Słabe głowy już poszły, więc możemy teraz spokojnie porozmawiać. Wypijmy za interesy. Pochylił się i zniżył głos. – Mówił pan przed chwilą, że jest pan zadowolony z wizyty w zjednoczeniu i w fabryce. Ale gdyby tak się zastanowić, to właściwie celu pan nie osiągnął.

– Nie rozumiem – Kellermann podniósł brwi.

– To proste. Pana przecież interesują żywice termoutwardzalne. Gdyby nie to, że ten idiota Bielski wychylił się podczas rozmowy u dyrektora z tymi Iglinami, byłoby to do załatwienia. Już wyobrażam sobie, jak Majewski zmyje mu głowę, ha, ha!

– Panie Langner, ja doprawdy nie rozumiem, o co wam wszystkim chodzi z tymi Iglinami. Prawdą jest, że interesują mnie żywice, a właściwie niektóre technologie ich wytwarzania, ale powtarzam: nie rozumiem, co to ma do rzeczy? I co jest z tym zakładem?

– Zaraz panu wytłumaczę. Otóż rzeczywiście w zakładzie w Iglinach pracują nad nowymi technologiami, gdyż jest to placówka niejako prototypowa. Problem polega na tym, że tam przygotowują coś naprawdę rewelacyjnego na dużą skalę. Ale to drobiazg. Każdy zakład ma dziś swoje tajemnice produkcji. Jednak ci w zjednoczeniu są specjalnie na to uczuleni, a nawet, jak pan widział, przewrażliwieni. A przecież, do diabła, to jest właściwie zwykła fabryka...

– Pańskie zdrowie, panie Langner. Nie mówmy już o tym. Wie pan przecież, że jestem cudzoziemcem, handlowcem i interesują mnie wyłącznie normalne interesy. Nie miałem zamiaru namawiać dyrektora Majewskiego na zwiedzanie innych zakładów. I tak wiele dla mnie zrobił. A nie chciałbym nikogo stawiać w trudnej sytuacji, nie chciałbym też popełnić jakiejś niezręczności. Niezbyt dobrze jeszcze znam polskie stosunki.

– Ma pan rację. Istotnie Majewskiemu byłoby trudno polecić pana w Iglinach. Ale gdybym wcześniej wiedział, mógłbym to panu załatwić bez większego szumu. Mam tam doskonałe stosunki. Niech pan sobie wyobrazi, że pracuje tam mój dobry kolega z okresu studiów. Doktor inżynier Zagórski...

Kellermann, który początkowo słuchał tych wynurzeń dość obojętnie, teraz na dźwięk usłyszanego nazwiska zainteresował się.

– Widzę, że stawiacie na młodą kadrę, bo z tego

wynika, że ten pan jest w pańskim wieku?

– Jak najbardziej. Bogdan jest moim rówieśnikiem. Też jeszcze kawaler. Ma tam jakąś dziewczynę, ale na razie nie bardzo się kwapi do małżeństwa. Chce najpierw habilitować się. Bo potem, to wie pan, żona, dzieci, zarobki i tak dalej. Wtedy bywa gorzej z pracą naukową. Mają duży dom w Warszawie w ładnej dzielnicy...

– Jak to, mają?

– Ach, prawda. Nie powiedziałem panu, że Bogdan ma siostrę. Plastyczka. Równa babka. Podkochiwałem się nawet w niej w swoim czasie, ale okazało się, że nie mam szans.

– Miała już kogoś?

– Nie miała i nie ma. Małgorzata twierdzi, że nie wyjdzie za mąż. Emancypantka. Chce pan, to pana z nią zapoznam. Można by jej pomóc nieco w zmianie poglądów, co? – Trącił Kellermanna łokciem. – Wpadlibyśmy tam któregoś dnia.

– Nie powiem, nie, ale wydaje mi się, panie Langner, że na nas już czas. Muszę być jutro w Warszawie. I to w dobrym stanie.

– Jeszcze pan się wyśpi. Ale mam do pana prośbę. Kiedy pan będzie rozmawiał w „Chemexie”, niech pan podkreśli, że ten kontrakt w Płocku ja wynegocjowałem, dobrze? W mojej pracy to się liczy. Miałbym przewizję.

– Zgoda. Przecież rzeczywiście bardzo mi pan pomógł, chętnie o tym wspomnę.

Znalazłszy się w pokoju hotelowym Kellermann myślał długo o propozycjach Edmunda. Taki człowiek może okazać się bardzo przydatny – doszedł do wniosku, jeśli tylko wcześniej nie sprawi kłopotu... Przy jego pomocy będzie można zawrzeć jeszcze niejedną interesującą umowę. Szefowie w centrali powinni być zadowoleni, chociaż... A swoją drogą to zabawne, że Langner zna Małgorzatę. Okazuje się, że najważniejsze są znajomości. Bez tego bym tu zginął.

W ciągu najbliższych dni nie znalazł nawet chwili, żeby zadzwonić do Małgorzaty. Ciekawe, czy to, co opowiadał Langner o jej bracie, jest prawdą? – zaczął się zastanawiać, kiedy już się uporał z bieżącymi sprawami. Muszę zdecydować, jak w związku z tym ułożyć swoje dalsze plany.

Odczekał kilka następnych dni i zatelefonował do mieszkania Zagórskich. Po chwili odezwał się głos gospodyni, która poinformowała go, że Małgorzaty nie ma w domu. Zdziwił się trochę. Wiedział dobrze, że o tej porze nigdzie nie wychodziła. Zadzwonił do pracowni. Tam z kolei nikt nie podnosił słuchawki. W ciągu dnia kilkakrotnie ponawiał próby. Bezskutecznie. Wieczorem znowu do mieszkania. Też nie było Małgorzaty. To go zaintrygowało.

Kiedy następnego dnia rano sytuacja się powtórzyła, był już urażony. Po południu zaszedł do kwaciarni, wybrał tuzin purpurowych róż i polecił wysłać je na adres Małgorzaty. Do kwiatów dołączył wizytówkę, na



której napisał: „Skruszony grzesznik prosi o wybaczenie i o telefon”. To powinno poskutkować – pomyślał. Mi-  
nał jednak następny dzień i telefonu się nie doczekał.  
Dopiero z poranną pocztą otrzymał lakoniczny liścik:  
„Dziękuję za kwiaty. Małgorzata”. I dopisek: „Były  
śliczne”.

Zadzwoił znowu do pracowni. Tym razem Małgo-  
rzata podniosła słuchawkę. Przedstawił się, ale odpo-  
wiedzią było milczenie. Zaczął dość bezładnie wyja-  
śniać swoje zachowanie w podróży do Płocka. Przerwa-  
ła mu w połowie zdania:

– Rozumiem i nie mam pretensji.

Wyczuł jednak w jej głosie, że nie jest to odprawa.  
Wprawnym uchem podchwycił jakąś cieplejszą nutę.

– Co myślisz o spotkaniu? – postanowił zaryzyko-  
wać propozycję.

– W ciągu najbliższych dni jestem bardzo zajęta –  
powiedziała z wahaniem. – Właściwie zaczęłam pewną  
pracę i chciałabym się z nią uporać – dodała jâk gdyby z  
usprawiedliwieniem.

Teraz był pewien, że wszystko zaczyna przebiegać  
pomyślni? Postanowił nie nalegać.

– To nawet dobrze się składa, bo ja też przeżywam  
gorący okres. Wobec tego zadzwonię za tydzień. Zgo-  
da?

– Jak chcesz – odparła i odłożyła słuchawkę.

W trzy dni później, kiedy siedział w pokoju nie bar-  
dzo wiedząc, co z sobą zrobić, zadzwoniła nieoczeki-  
wanie Małgorzata.

– Cieszę się, że dzwonisz – powiedział z niekłamną radością. – Wprost nie umiem ci powiedzieć, jak się robi raźniej i cieplej, gdy człowiek usłyszy znów czyjś znajomy głos.

– Ach ty obłudniku! – Małgorzata była już prawie rozbrojona. – Powiedz lepiej, kiedy będziesz miał naprawdę wolny czas?

– Choćby zaraz – odparł z entuzjazmem.

– Nie bądź taki szybki – roześmiała się. – Kiedyś to ja prosiłam cię o spotkania...

– Już mi nie wypominaj, człowiek podobno uczy się do śmierci...

– Dobrze, dobrze. Nie wyobrażaj sobie, że wszystko jest zapomniane. Chciałam się po prostu dowiedzieć, czy żyjesz i czy czegoś nie potrzebujesz.

– Jedyne, czego potrzebuję, to twojego widoku.

– To może jutro po południu? Pozwalam ci przyjść do pracowni. Przekonasz się, że nie traciłam czasu. Nie odbierałam nawet telefonów od pewnego nieznośnika...

Wkrótce wszystko powróciło do normy. Jak dawniej, spotykali się prawie codziennie. Kellermann każdą wolną chwilę spędzał w pracowni Małgorzaty. Kiedy jej nie zastawał, otwierał drzwi własnym kluczem, kładł się na tapczanie i przyglądał się jej portretowi wiszącemu na przeciwległej ścianie.

Była to alegoria wiosny. Na obrazie naga dziewczyna z rozpuszczonymi włosami trzymała w dłoniach

gałązkę bzu. Subtelne światło przesączające się z góry dawało złudzenie porannej rosy drgającej jeszcze w powietrzu i złoto połyskującej nad głową dziewczyny. Czuło się w tym obrazie świeżość majowego ranka i powiew wiatru, który za chwilę zdmuchnie kropelki wilgoci z kwiatowego grona.

Lubił ten obraz. Nieraz żartobliwie próbował robić Małgorzacie sceny zazdrości, wypytyjąc o autora. Ona niezmiennie opisywała brodatego malarza, wpatrującego się zachłannie w modelkę, a potem siebie stojącą nago na niskim podium, drżącą z chłodu i z lekkiego pożądanania.

Potrafiła to opowiadać tak sugestywnie, że zwykle pod koniec marszczył brwi, na co Małgorzata rzuciła mu się ze śmiechem na szyję i przysięgała, podnosząc z powagą do góry dwa palce, że „Wiosna” jest autoportretem wykonanym przy pomocy dużego lustra stojącego pod ścianą.

Pewnego dnia przyszedł do pracowni już o jedenastej. Usiadł w wiklinowym fotelu, bokiem do okna, tak że światło padało na niego z lewej strony, wziął jakąś książkę i czekał na powrót Małgorzaty. O tej porze wyskakiwała bowiem do miasta, kupowała mleko, sery i owoce. Potem jedli razem spóźnione śniadanie, popijając kolejno mlekiem z jednej butelki. Lubili te chwile.

Nie minęło pół godziny, kiedy usłyszał jej szybkie kroki na schodach. Chciał wstać na jej powitanie, ale powstrzymała go gwałtownie.

– Nie ruszaj się! – zawołała, a kiedy zdziwiony nieco, pozostał na swoim miejscu, dodała: – To światło jest fantastyczne. Załóż nogę na nogę. Tak, teraz dobrze. – Otworzyła szkicownik. – Zawsze chciałam namalować twój portret. – Wyglądasz teraz jak żywcem przeniesiony z epoki fin de siècle'u. – Szybkimi ruchami szkicowała jego sylwetkę. – Dodam potem stolik pod rękę, na nim słomkowy kapelusz z czarną wstążką, i będzie scena z ulicznej kawiarni na Champs Elysees... Chodzi mi o uchwycenie tej jednej chwili... Tak. Sądzę, że mi się udało. Zobacz. Podoba ci się?

– Ależ to jakaś okropna karykatura! – zawołał z udanym przerażeniem. – Tak to jest, kiedy człowiek zawierzy jakiemuś malarzynie. Ale ślicznemu malarzynie – dodał sadzając ją sobie na kolanach. – Wolałbym zobaczyć to, kiedy portret będzie już gotowy. Ile to będzie kosztowało? Nie wiem, czy moje skromne finanse wystarczą. Tylko błagam, przyrzeknij mi prawo pierwokupu, bo kiedy dowiedzą się w Luwrze...

– Wstrętny jesteś! Za karę dostaniesz obraz w prezencie. Obiecuj, że sprzedasz go dopiero po mojej śmierci!

– Nigdy się z nim nie rozstanę. Ale nic nie chcę za darmo. Moja kupiecka dusza buntuje się przeciwko temu. Już wiem. W zamian powrózę ci.

– Naprawdę? Umiesz wróżyć?! – Jedną ręką objęła go za szyję, a drugą wyciągnęła przed siebie. – Tylko mów prawdę!

– A więc: Małgorzata jest szatynką o zielonych oczach. To są śliczne oczy...

– Eee, po pierwsze to widać, a po drugie nie mówisz prawdy. Obiecałeś przecież...

– Już dobrze. Z twojej ręki można wyczytać, że jesteś zdolna i pracowita. Bezpretensjonalna i skromna. Żyjesz w cieniu brata. Buntujesz się przeciwko temu, ale chyba tylko wewnętrznie, gdyż do rodziny jesteś bardzo przywiązana. Jesteś realistką, ale zdarzają ci się czasem załamania i rozterki. Jeśli wyjdiesz za męża, to bardziej z rozsądku niż z miłości. I to za solidnego, porządnego człowieka. Podejrzewam nawet, że nie za tego, którego kochałaś pierwszą miłością. Długo pamiętasz dobre, a o złym szybko zapominasz.

– Sprytny jesteś! Ułożyłeś te wróżby dla swojej wygody. – Małgorzata wstała z jego kolan, przeszła się po pracowni, wreszcie Usiadła z podwiniętymi nogami w rogu tapczanu. – Z wieloma rzeczami mogę się jednak zgodzić. Masz rację, jeśli chodzi o mojego brata. Niby jestem samodzielna, ale brat mi imponuje, a poza tym samo życie tak się jakoś układa... No bo popatrz, myślę, że on niedługo ożeni się, żona niewątpliwie zamieszka u nas i właściwie będzie w tym domu rządzić. A ja? Zejdę na drugi plan. Gdybym sama chciała ułożyć sobie życie, wyjść za męża, musiałabym dom opuścić.

- Sądzę, że brat ci pomoże?
- Bogdan? Na pewno. Ale czasem sobie myślę, że rola młodszej siostry nie jest najzabawniejsza. On jest poza tym trochę despotą, ma świadomość własnej wartości, może nie jest zarozumiały, ale wszystko wskazuje na to, że zrobi karierę naukową.
- Pamiętam, mówiłaś jeszcze w pociągu, że twój brat jest chemikiem.
- Tak, pracuje niedaleko Warszawy. Na razie jest mi z nim dobrze, ale zdaję sobie sprawę, że to nie będzie trwało wiecznie. Czas zresztą pomyśleć również o sobie. Lata lecą... A Bogdan, cóż? Wiecznie zapracowany, przynosi do domu pracę, jakby mu było mało siedzenia w zakładzie.
- Chętnie bym poznał twojego brata.
- Jeśli dotychczas ci tego nie proponowałam, to tylko dlatego, że nie byłam pewna, czy sobie tego życzysz. Niebawem nadarzy się doskonała okazja. Teraz wolałabym Bogdanowi nie przeszkadzać. Ostatnio dopracowuje swój kolejny wynalazek. To jest podobno coś bardzo ważnego. Interesują się tym zagadnieniem tak zwane wysokie czynniki. Wyobraź sobie, że Bogdan chowa na noc te swoje papiery do specjalnej skrytki, która jest w regale. Nasz dom jest bardzo stary, meble też, a kiedyś w każdym meblu musiał być jakiś schowek, w którym trzymało się listy, pieniądze. Zresztą pokażę ci przy okazji.

## 7.

Praca habilitacyjna inżyniera Zagórskiego wypadła nie tylko dobrze, ale wręcz celująco. Podkreślił to sam profesor podczas obiadu, jaki wydał Zagórski dla grona najbliższych współpracowników. Pochwała zaś wybitnego uczonego, znanego ze swych wysokich wymagań, znaczyła może więcej niż otrzymany tytuł. Bogdan miał więc podstawy do dumy i radości.

W świetnym humorze powrócił do domu, gdzie czekała już na niego siostra. Małgorzata sama, bez pomocy gosposi, przyrządziła na kolację potrawy z ryb będące przysmakiem brata. Stół nakryty lśniącym białym obrusem, mimo kwiatów, półmisek, talerzy i kieliszków, wyglądał dość smutno. Wrażenie to potęgowały stojące dookoła puste krzesła.

– Właściwie mogłam poprosić na kolację chociaż parę osób – odezwała się Małgorzata. – Spodziewam się, że to była dla ciebie zwykła formalność.

– No, nie tak bardzo. Rzecz nie polegała jedynie na wykazaniu się wiadomościami z określonej dziedziny. W swojej pracy broniłem własnych, dość oryginalnych poglądów, które mimo udanych doświadczeń w pierwszym etapie, mogły zostać obalone.

– Fakt, że napracowałeś się ostatnio. Żałuję, że nie mogłam ci w niczym pomóc – westchnęła Małgorzata. –

Nawet dobrze nie wiem, o co chodzi w tych twoich oryginalnych poglądach,

– W jednym zdaniu nie mogę ci tego wyjaśnić, a poza tym wiesz dobrze, że prowadzimy badania, których efekty nie będą na razie publikowane.

– Wiem, wiem, te wasze tajemnice... Gdyby chodziło o jakąś nową armatę, to bym się nie dziwiła, ale grzebiecie się w tych proszkach i tak się boicie.

– To nie jest takie proste... Wiem, mam myśl. Ty przywiozłaś z Wenecji medal, moją pracę przyjęto, więc może wydamy z tej okazji jakieś małe przyjęcie? Należy nam się trochę oddechu, co? Więc może w sobotę?

– Nie mam nic przeciwko sobocie. Chyba uporamy się z przygotowaniem. Jeśli Weronika mi pomoże... Chociaż ostatnio zauważyłam, że staruszka jakoś nie domaga.

– Cóż chcesz? W tym wieku. Ale mnie się zdaje, że jej chodzi o coś innego. Kiedyś słyszałem, jak mówiła do siebie, że od śmierci ojca w tym domu nic się nie dzieje. Co to za dom, w którym nie ma nawet dla kogo gotować, nie ma wspólnych obiadów ani kolacji, każdy chodzi własnymi drogami i tak dalej.

– W takim razie mały ruch z gośćmi dobrze jej zrobi. A ja z kolei słyszałam, że szczytem jej marzeń byłoby przygotowanie dla ciebie uczytu weselnej – uśmiechnęła się Małgorzata patrząc z ukosa na brata.



– Na wszystko przyjdzie czas. Kogo zaprosimy?  
– Oczywiście Danka – zaczęła wyliczać. Bogdan uśmiechnął się na to „oczywiście”. Od pewnego czasu Danka uchodziła w tym domu za jego narzeczoną. On jednak nie mógł się jakoś zdecydować na to małżeństwo. – Wujostwo Stanisławowie, wuj Adam – kontynuowała Małgorzata. – Edmund. A z instytutu?

– Będą trzy osoby – odpowiedział. – A z twojej strony?

Małgorzata chwilę się zastanawiała.

– Na pewno Zośka z Pawłem, profesor i... nie wiem, czy zaaprobujesz jeszcze jedną osobę. Wracając z Włoch poznałam w pociągu pewnego faceta. Ma na imię Robert...

Bogdan uniósł brwi ze zdziwieniem:

– I po rozmowie w pociągu chcesz go już ciągnąć do domu? No, no...

– Nie bądź niemądry. Spotykam się z nim już od dłuższego czasu. To handlowiec. Reprezentuje w Polsce interesy jakiejś zachodniej firmy. Kulturalny, bardzo miły i bardzo przystojny. Mówi niezłe po polsku, chociaż z takim śmiesznym akcentem.

– Widzę, że Weronika istotnie przygotowuje ucztę swojego życia, ale chyba nie dla mnie... No cóż, jesteś dorosła. Nie mam sprzeciwów. Chętnie poznam tego miłego, przystojnego i kulturalnego. Tym bardziej że skoro mam go w przyszłości widywać stale...

– Jesteś złośliwy. – Małgorzata poczuła, że zaraz się zarumieni. – Jeszcze nic nie wiadomo. Cieszę się, że go poznasz. Na pewno przypadniecie sobie do gustu.

– A więc lista jest kompletna. – Bogdan udał, że nie zauważył zmieszania siostry. – Jeśli chodzi o koszt, biorę to na siebie. Miałem w tym miesiącu specjalną premię.

Nazajutrz Małgorzata nie wymknęła się jak zwykle rankiem do pracowni. Odbyła natomiast długą konferencję z Weroniką. Po śmierci matki starszka starała się ją rodzeństwu zastąpić i w sposób naturalny przejęła obowiązki pani domu. Kiedy zmarł również doktor Zagórski, nie było już do pomyślenia, aby ktokolwiek poza Weroniką zawiadywał całym gospodarstwem.

Dom składał się z paru obszernych pokoi. Dwa na piętrze zajmowała ostatnio Małgorzata. Na dole przyległy do jadalni gabinet ojca przejął Bogdan. Z dwóch pozostałych pokoi większy zajmowała Weronika, mniejszy służył Bogdanowi za sypialnię. Do tego dochodziła kuchnia i nie zajęta służbówka. Nie zajęta, gdyż Weronika wołała dochodzącą pomoc domową. Z jadalni prowadziły drzwi na taras, z którego można było przejść do ogrodu, przedstawiającego obecnie raczej smutny widok. Jakoś nikt nie kwapił się zaprowadzić tam nieco porządku. Wiosną czynności te odkładano na później, jesienią do wiosny, tak że nawet Weronika machnęła wreszcie ręką, oświadczając, że skoro nikt się

nie wstydzi takiego widoku od ulicy, to i ona nie będzie się tym przejmowała.

W pokojach zajmowanych przez Małgorzatą stały nowoczesne meble, których jednak, jak mawiał Bogdan, szkoda było kupować, bo i tak ginęły pod papierami, tubami i farbami, stosami płócien, reprodukcji, książek i tym podobnych przedmiotów. Toteż, zachodził tam rzadko, „żeby nie nabrać złych nawyków”. Wygląd wewnątrz pozostałych pomieszczeń nie uległ zmianie, od chwili kiedy je wyposażono, to znaczy od czterdziestu z górą lat.

Konferencja odbyła się w jadalni, gdzie uprzednio zostało zjedzone wspólne śniadanie. Po wyjściu Bogdana Weronika wysłuchawszy propozycji Małgorzaty pokiwała tylko głową i orzekła, że sumienie nie pozwoli jej uczestniczyć w przygotowywaniu czegoś takiego.

– Ty, Małgosiu, zawierz starej i nie wtrącaj się do kuchni. Zapamiętaj lepiej, co trzeba kupić, żeby to wszystko wyglądało po ludzku i żebyś nie musiała się potem wstydzić za ten dom.

Tu nastąpiła cała litania pozycji, które Małgorzata skrzętnie notowała zastanawiając się w duchu, czy domy handlowe stolicy będą mogły sprostać temu zadaniu.

Słońce zachodziło tego dnia wyjątkowo pogodnie, powietrze było suche i ciepłe. Pachniało trawą, gdyż Bogdan nakłonił dozorcę sąsiedniej posesji do skoszenia trawników w ogrodzie i przycięcia krzaków przy ogrodzeniu.

Wśród gości dyskretnie przesuwała się Weronika, zachęcając do konsumpcji. Do stojącej z Robertem Małgorzaty podszedł Bogdan z Danką.

– Miło mi, że zechciał nas pan odwiedzić.

Chciałbym, by czuł się pan dobrze w tym domu. Przy okazji chcę również podziękować za opiekę nad siostrą podczas podróży. Małgorzata wiele opowiadała mi o panu.

Kellermann poczuł lekkie zmieszanie.

– Właśnie dzięki tej podróży poznałem Małgorzatę – odparł. – I zyskałem życzliwego człowieka, który jest potrzebny zwłaszcza wtedy, kiedy się jest z dala od swego kraju.

Bogdan spojrział na niego z zainteresowaniem. Robert wydał mu się nagle sympatyczny.

– Proszę więc traktować ten dom jako przyjazny panu i odwiedzać nas, ilekroć przyjdzie panu na to ochota.

– Ty, kochanie, też jakoś rzadko do nas wstępujesz – Małgorzata zwróciła się z serdecznym uśmiechem do Danki. – A cieszysz się względami samej Weroniki, że nie wspomnę o innych obecnych tu osobach – spojrziała wymownie na brata.

Zamiast odpowiedzi Danką uściśnęła ją serdecznie i tylko jej rumieniec świadczył, jak bardzo ucieszyła ją ta ostatnia uwaga.

Podszedł do nich Edmund z pełnym kieliszkiem w rękę.

– Jeżeli są całusy, to znaczy, że znajdzie się i powód

do wypicia – oświadczył.

Po chwili został sam z Kellermannem, gdyż rodzeństwo z Danka przeszło w kierunku innych gości.

– Widzę, że pana nie doceniłem – powiedział z porozumiewawczym uśmiechem. – Jest pan szybszy, niż przypuszczałem. Moje uznanie. Zawsze mówiłem, że Małgorzata to babka warta...

– A co, chciałby pan mieć monopol na wszystkie ładne dziewczyny? Należy zostawić coś i dla innych – klepnął Edmunda po ramieniu.

– Rzeczywiście. Ale i tak... – pokręcił głową z podziwem. – No, czuję, że za chwilę otrzymamy coś gorącego – zmienił temat. – Mając taką gospodynię, jak Weronika, mógłby człowiek całe życie korzystać z dobrodziejstw kawalerskiego stanu.

– Zakładając, że chodziłoby nam wyłącznie o sprawy kulinarne – zauważył Kellermann.

– Oczywiście, oczywiście – roześmiał się Edmund. – Jeśli pan pozwoli, to chciałbym jedno zdanie o interesach. Pomyślałem sobie, że mając tyle spraw do załatwienia potrzebowałby pan może do pomocy kogoś dobrze zorientowanego w miejscowych stosunkach. Chętnie służyłbym panu taką pomocą...

– Możemy o tym porozmawiać przy jakiejś okazji. Nie orientuje się pan, jaki był temat pracy habilitacyjnej naszego gospodarza? – Kellermann tylko pozornie zmienił temat.

– Wspominałem panu w Płocku, że w instytucie, w

którym pracuje Bogdan, prowadzi się badania o charakterze zamkniętym. Przypuszczam, że w związku z tym i temat jego pracy... rozumie pan... ale myślę, że może go pan o to sam oględnie zagadnąć.

– Zapewne – obojętnie skinął głową Kellermann. – Skoro jednak sprawa ma się tak, jak to pan sformułował, to mnie nie interesuje. Sprawa kupna odpada.

– Do kupienia jest wszystko, tylko zależy, za jaką cenę – roześmiał się Edmund.

– Możliwe. Ale widzę, że istotnie podają coś na gorąco. Mogę pana namówić?

Wieczór przeciągnął się niemal do północy. Serdeczność i życzliwość gospodarzy, dobre jedzenie i trunki wprawiły wszystkich w doskonały humor. Zadowolony był szczególnie Kellermann, o czym nie omieszczał powiedzieć Małgorzacie, opuszczając jako jeden z ostatnich ten gościnniej dom.

Kiedy rodzeństwo zostało samo, Bogdan nalał sobie jeszcze kieliszek:

– Ten twój Robert sprawił bardzo miłe wrażenie. Powiedz mi szczerze, czy jesteś nim zainteresowana na poważnie?

Małgorzata milczała przez chwilę, po czym uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

– Obawiam się, że to się już zaczęło. Ale zobaczymy. Nie bój się, zawiadomię cię na czas. Teraz chce mi się już bardzo spać. Idę na górę.

Dobranoc.

## 8.

Długo nosił się z tą myślą. Niewątpliwie zdobycie PCL-100 dawało mu szansę na znaczne powiększenie i tak już dość zasobnego konta. Toteż kiedy dowiedział się o zakończeniu prób i wyprodukowaniu pierwszej partii tworzywa, postanowił wykorzystać okazję. Pozostawał tylko problem wytypowania bezpośredniego wykonawcy jego zamiarów.

Odnowił w tym celu znajomość z Jaroniem, postacią w Iglinach raczej niepozorną, nie rzucającą się w oczy. Przed osiemnastoma laty razem uczęszczali do technikum chemicznego w Łodzi. Razem też podjęli pierwszą pracę. Później ich drogi rozeszły się. Łatwo ustalił, że Jaroń pracował jeszcze czas jakiś w Łodzi, a potem, po zawarciu małżeństwa, przeniósł się pod Warszawę, gdzie żona otrzymała w spadku niewielki domek z ogródkiem. Jaroń podjął pracę w pobliskich Iglinach w charakterze technika laboranta.

Nietrudno było również doprowadzić do „przypadkowego” spotkania. Nastąpiło ono w Warszawie przed sklepem filatelistycznym na Nowym Świecie. Jaroń nie ukrywał zaskoczenia, widać było jednak, że jest zadowolony ze spotkania z dawnym kolegą. Poszli wtedy na lampkę wina do „Alhambry”. Tam właśnie zorientował się, że jeśli jest w życiu Jaronia jakaś namiętność, to są nią znaczki.

Umówili się na jeszcze jedno spotkanie w Warszawie, a później Jaroń zaprosił go do domu z okazji urodzinowego przyjęcia.

Gdy podczas kolejnych odwiedzin w domu Jaronia zaczął rozmowę na temat znaczków, gospodarz otworzył skwapliwie szafę, wyjął klasery i katalogi i zaczął mu wyjaśniać arkana wiedzy na temat ząbkowanych papierków. Na koniec wyjął z szuflady mały klaser oprawiony w ciekawą czerwoną skórę i pokazał największy swój skarb.

– Patrz – Jaroń otworzył katalog z zakładką na odpowiedniej stronie. – Gdybym miał jeszcze te dwa, byłby komplet. Taką serię ma w Polsce tylko trzech ludzi. Kiedyś nawet zanotowałem sobie ich adresy. Tak na wszelki wypadek. Jeden mieszka w Koszalinie, drugi w województwie wrocławskim, a trzeci w Warszawie. To mecenas Tadeusz Rybicki. Ale on odziedziczył zbiory po ojcu i dziadku. Miał szczęście, że w czasie wojny nic mu nie przepadło. Kiedy Niemcy weszli do Warszawy, jego ojciec wyjechał z rodziną w Kieleckie. Inni zabierali toboły, pierzyny, maszyny do szycia, a on zabrał znaczki. Po śmierci ojca zbiory przejął syn. On sam właściwie interesuje się bardziej tematami...

– Czy to dużo warte? Nie mógłbyś odkupić?

– Ta seria? Te cztery znaczki kosztują dziś jakieś sto tysięcy złotych. Skąd wziąć tyle pieniędzy?

– Tak, rzeczywiście. Ale powiedzmy, że zdobyłbyś te znaczki. Co byś z nimi zrobił? Odsprzedałbyś dalej?



– No wiesz? – oburzył się Jaroń. – Nawet nie wszystkim bym pokazywał. Poza tym nie zbiera się znaczków po to, aby nimi handlować. Zaraz widać, że się tym nie zajmujesz. Niektórzy wprawdzie tak robią, ale to nie są prawdziwi kolekcjonerzy. Wymienić, dokupić, owszem, ale nie handlować.

Co jakiś czas wracali jeszcze do tego tematu aż któregoś dnia uznał, że Jaroń dojrzał już do bardziej konkretnych rozmów. Przygotował się do tego starannie. Najpierw odnalazł w książce telefonicznej mecenasa Rybickiego. Któregoś popołudnia zadzwonił do niego i poprosił o poradę w kwestii spadkowej.

– Może zgłosi się pan do mnie do zespołu... – zawałał się adwokat. – W zasadzie nie prowadzę własnej kancelarii.

– Oczywiście, panie mecenasie, ale chciałbym wstępnie z panem porozmawiać, a potem właśnie panu powierzyć dalsze prowadzenie sprawy. W zespole trudno się do pana dopchać. Każdy chciałby tylko u pana, co zresztą moim zdaniem jest zupełnie zrozumiałe...

– Hm... – Mecenas Rybicki poczuł się widocznie mile połączony tym stwierdzeniem i dłużej już nie oponował. – Powiedzmy, że przyjdzie pan do mnie... zaraz... spojrzę do kalendarza... tak. Za tydzień, o osiemnastej. To będzie wtorek. Odpowiada panu ten termin?

– Oczywiście, panie mecenasie. Jestem zobowiązany.

W oznaczonym dniu wziął taksówkę i pojechał pod znany sobie adres. Ponieważ przybył piętnaście minut przed wyznaczoną godziną, resztę czasu przesiedział na ławce między blokami. Kiedy naciskał guzik dzwonka, była akurat osiemnasta.

Drzwi otworzył mu sam gospodarz, tęgawy, niski mężczyzna pod pięćdziesiątkę. W szarym, workowatym ubraniu sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego.

– Jest pan punktualny jak śmierć – uśmiechnął się.  
– To się chwali. Dziś niestety nie wszyscy doceniają znaczenie i wartość czasu – dodał wskazując gościowi drogę.

– Zdaję sobie sprawę, jak cenny jest czas pan» mecenasa, stąd ta punktualność. Normalnie i mnie zdarzają się drobne spóźnienia. Człowiek wiecznie się dokąś śpieszy, czasem niepotrzebnie zaczyna jedno nie kończąc drugiego, denerwuje się, że nie starcza mu czasu na inne sprawy, i tak w kółko.

– No tak, a potem nerwice, stresy, choroby naszych czasów. Ale cóż konkretnie pana do mnie sprowadza?

– Powiem zwięźle, panie mecenasie. Otóż miesiąc temu zmarł mój stryj. Przed śmiercią nie zdążył sporządzić normalnego testamentu u notariusza, podyktował jedynie swoją ostatnią wolę dwom przyjaciółom, którzy spisali ją i opatrzyli podpisami. Został spory

majątek. Jakiś dom i sporo cennych przedmiotów. Stryj był wdowcem, została rodzina jego żony, dzieci nie mieli, no i ja. Mój ojciec też nie żyje. Chciałbym spowodować wszczęcie postępowania spadkowego.

– Doskonale. Mogę się tym zająć. Poproszę pana o niezbędne dane i o pełnomocnictwo. – Rybicki otworzył notes. – Formalności dopełnimy jednak już w zespole.

Podczas kiedy mecenas notował, gość rozglądał się po pokoju. Umeblowanie proste, w miarę współczesne, mogło znajdować się właściwie w każdym mieszkaniu. O przeszłości mogło świadczyć jedynie parę płócien w starych ramach oraz kilka drobiazgów. Na biurku komplet do pisania, oprawna w wytłaczaną skórę teczka do korespondencji, figurka rzeźbiona w kości słoniowej. Między oknami dwa dyplomy za szkłem, w prostych cienkich ramkach.

– Przepraszam, panie mecenasie, że zapytam... ale widzę tu dyplomy z wystaw filatelistycznych...

– A proszę, proszę. Istotnie biorę udział w niektórych. Działam także w naszym związku, koresponduję z zagranicą i tak dalej. Czy pan również interesuje się filatelistyką?

– Szczerze mówiąc, nie. Rozumiem jednak tę pa-sję. Sam mam kilku znajomych, których ona opanowała. Jeśli więc pan mecenas pozwoli, zapytam, czy można byłoby, pana zdaniem, polecić jakieś znaczki jako... powiedzmy lokatę kapitału? Może to dla pana zabrzmia prozaicznie, ale mam po prostu trochę pieniędzy, trochę

spodziewam się po tym spadku, a że samochody mnie nie interesują...

– Rozumiem. Naturalnie, można i tak. Nie mam tu możliwości i czasu robić panu wykładu, ale są znaczki, których wartość wzrasta z roku na rok. Czy pana coś konkretnie interesuje?

– Co pan mecenas myśli o polskich znaczkach z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku? Słyszałem, że niektóre są bardzo interesujące i cenne.

– Ach, mówi pan zapewne o tych czterech. – Rybicki sięgnął po klaser. – Właśnie je mam. Prawdę mówiąc, zostały mi po ojcu, bo ja sam obecnie zbieram raczej tematy.

– Jeśli już tak zawracam głowę panu mecenasowi, ośmielę się na jeszcze jedno, *audaces fortuna iuvat*, nieprawdaż? Czy jest jakakolwiek możliwość, abym te właśnie znaczki mógł od pana odkupić? Oczywiście według rzeczywistej ich wartości i pana osobistej wyceny.

– Przyznaję, że zaskoczył mnie pan – mecenas zamyslił się i przez chwilę niezdecydowanie obracał w rękach mały klaser. – Miałem wprawdzie zamiar spieniężenia części moich zbiorów, w tej liczbie i wspomnianej przez pana serii – rzucił klaser na stół – ale jakoś nie mogłem się zdecydować do końca. Miałem sporo propozycji, ale ciągle się wahałem. Właściwie jednak nic nie stoi na przeszkodzie. Tak... widzę, że pan zmierza do celu prosto i zdecydowanie. To mi się nawet

podoba. Nie usiłował mnie pan wziąć na zamiłowania, tylko postawił pan sprawę jasno i po męsku. Tak więc i ja powiem panu otwarcie: za trzy dni proszę do mnie zadzwonić, muszę się bowiem jeszcze zastanowić. Warunki będą następujące: tysiąc pięćset dolarów w gotówce, płatne w całości w momencie transakcji. Spiszemy odpowiedni akt, żeby i formalnościom stało się zadość. Jednym słowem może pan być dobrej myśli.

Te trzy dni postanowił poświęcić na najważniejszą sprawę, dogadania, się z Jaroniem. Szukał gorączkowo w myśli argumentów, które mogłyby okazać się w tej sytuacji najskuteczniejsze. Próbował uzmysłwić sobie sposób rozumowania Jaronia, zastanawiał się, jak zareaguje on na tę bądź co bądź niecodzienną propozycję. O pieniądze się nie martwił, dysponował odpowiednią kwotą przechowywaną w łazience w plastikowym woreczku w schowku za kaflem pod wanną.

Tym razem umówili się z Jaroniem w kawiarni „Sosenka”. gdyż Jaroniowa namoczyła właśnie wielkie pranie, wobec czego małżonkowi nie spieszyło się absolutnie do domu. Po kilkunastu minutach zwykłej rozmowy przy kawie i koniaku, uznał, że trzeba próbować.

– Co byś powiedział na to, gdybyś jutro powiększył swoje zbiory? – zapytał pilnie obserwując twarz Jaronia.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli?

– Co mam na myśli? A to, że mógłbym sprawić, że

staniesz się właścicielem tej serii, o której kiedyś mówiliśmy.

Jaroniowi rozbłysły oczy.

– Nie bujasz?! Stary! Jakim cudem? Skąd je masz?

– Zaraz jednak zreflektował się. – Ale co z tego i tak nie mam forsy.

– Zaraz forsa. Może dałoby się to załatwić bez pieniędzy. Posłuchaj. Zdobyłem dla ciebie te znaczki. Jestem ich legalnym posiadaczem. Jeśli się dogadamy, przekazę je tobie.

– Ale za co? – wyjąkał Jaroń. – Skoro nie za pieniądze... Nie mam nic tak cennego. Może inne znaczki? – ożywił się znowu.

– Nie zawracaj głowy. Wiesz, że znaczki nie mają dla mnie żadnego znaczenia. – Pochylił się znów nad stolikiem. – Jest coś, co nie jest ani moje, ani twoje. Powiedzmy, państwowe – uśmiechnął się. – Wiem, że wyprodukowaliście ostatnio PCL-100. Skombinuj dla mnie trochę tego, a znaczki będą twoje. Obustronna dyskrecja zapewniona.

Jaroń popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Przełknął ślinę.

– Po co ci ta substancja? Przecież nic z tego nie zrobisz.

– Powiem ci szczerze. Mam kumpla w zakładach w Oświęcimiu. Kiedyś prowadziliśmy razem interesy, a teraz chciałbym pójść mu na rękę. Też pracuje w branży chemicznej. Jeśli dostanie to ode mnie, otrzyma kupę

forsy za wniosek racjonalizatorski. Mnie też coś z tego kapnie, a ty będziesz miał swoje znaczki. Proste?

– Nie bardzo... przecież to będzie zwyczajna kradzież.

– Po co zaraz nazywać to kradzieżą? Zrozum. Nikt na tym nie traci. Jeśli nie ten, to inny zakład podejmie produkcję. Przełożymy tylko pieniądze z jednej państwowej kieszeni do drugiej, a swoje załatwimy niejako przy okazji. To jest szansa. Drugiej takiej możemy już nie mieć. I nikt się o tym nie dowie. Chciałeś mieć te znaczki?

– No chciałem, ale...

– Zdecyduj się więc. Konkretnie.

– Słuchaj, ja tak od razu nie mogę. Musiałbym pomyśleć...

– Tu nie ma co myśleć. Sprawa jest prosta. Ale dla starego kolegi pójdę na ustępstwo. Jutro rano będę czekał na twój telefon. Jeśli się namyślisz, powiesz mi tylko, że załatwione. Wtedy spotkamy się tu o dziewiętnastej. Zgoda? No, to do jutra. I pamiętaj: to szansa. Nie, daj spokój, ja zapraszałem – dodał widząc, że Jaroń sięga do kieszeni po pieniądze.

Nazajutrz przesiedział beczynnienie do dziewiętej wpatrując się w milczący ciągle aparat telefoniczny. Kiedy wreszcie odezwał się dzwonek, błyskawicznie podniósł słuchawkę.

– Kancelaria parafialna? – usłyszał głos kobiecy.

– Nie, rzeźnia – warknął i odłożył słuchawkę.

Znowu czekał. Pomyślał, że Jaroń jest w tej chwili

bardzo zajęty, może wezwał go szef, może... Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Jaroń po prostu zrezygnował z całego interesu. Telefon zadzwonił po raz drugi. Tym razem odczekał chwilę i sięgnął po słuchawkę bez pośpiechu, żeby nie zapeszyć. Czuł bicie własnego serca.

– Halo?

– Załatwione – usłyszał przytłumiony głos Jaronia i zaraz potem trzask oznaczający, że połączenie zostało przerwane.

Teraz pospiesznie przerzucał kartki książki telefonicznej. Szukał numeru adwokata Rybickiego. Telefon odebrała gospośka i oświadczyła, że mecenas wyszedł już do zespołu. Zadzwonił więc pod wskazany numer.

Po uzyskaniu połączenia powiedział swoje nazwisko.

– A, to pan – głos Rybickiego brzmiał jakoś niezdecydowanie. – Jestem trochę zajęty...

– Wiem, panie mecenasie, i przepraszam, ale chciałbym się przypomnieć w związku ze znaczkami o których mówiliśmy trzy dni temu.

– Proszę pana, przykro mi, ale postanowiłem nie sprzedawać tych znaczków. To w pewnym sensie pamiętka po moim ojcu.

– Pan mi przecież obiecał!

– Nie przypominam sobie – odparł dość zimno Rybicki. – Powiedzmy raczej, że dawałem panu pewne nadzieje, ale obecnie, po namyśle, zmuszony jestem zrezygnować. Jeszcze raz przepraszam. Do widzenia panu.



Przez chwilę siedział jak ogłuszony, wpatrując się bezmyślnie w słuchawkę, którą jeszcze trzymał w ręce. Odłożył ją wreszcie powoli na widełki. Przychodziły mu do głowy różne pomysły, żaden jednak nie nadawał się do realizacji. Postanowił mimo wszystko nie rezygnować. Przecież najważniejsze, czyli zgodę Jaronia, miał już za sobą. Nie warto było teraz wycofywać się. Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia musi się udać.

Po wyjściu z pracy postanowił natychmiast przystąpić do działania. W sklepie filatelistycznym nabył mały klaser i katalog, taki jaki widział u Jaronia. W domu wyciął starannie cztery reprodukcje znaczków, z klasera wyjął jedną kartkę i za paskiem z folii umieścił swoje „znaczkę”. Kartkę włożył do przezroczystej torebki, a całość zapakował w szarą kopertę. Klaser i katalog wrzucił do szuflady. Pociąg odchodzący ze stacji „Stadion” nie był o tej porze przepełniony. Pierwsza fala pasażerów powracających z pracy w warszawskich fabrykach i urzędach zdążyła odpłynąć już wcześniej. Wybrał prawie pusty wagon w środku składu. Po upływie kilkunastu minut pogodne dotąd niebo zaczęły zasnuwać ciemne chmury i wkrótce cienkie strużki deszczu tworzyły skomplikowany rysunek na oknach wagonu. Żałował, że nie zabrał płaszcza, bowiem od przystanku do „Sosenki” było kilkaset metrów. Nieliczni pasażerowie, którzy wysiedli razem z nim, skręcili od razu w prawo do znajdującej się za laskiem osady.

Postawił kołnierz marynarki i z rękami głęboko w kieszeniach ruszył prosto przed siebie. Była za piętnaście siódma.

„Sosenka” mieściła się w długim i niskim pawilonie zbudowanym na małej polanie. Teraz, podczas deszczu, aa tarasie nie było nikogo, jedynie smętnie zwisały zamknięte parasole. Z przeciwnej strony żwirowana droga prowadziła wśród drzew do szosy. Dogodny dojazd do miasta, obszerny parking oraz zaciszne położenie restauracji sprawiały, że pojawiali się tam ludzie, którym z różnych względów nie zależało na reklamie. Od dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej grał tu trzyosobowy zespół i zawsze kilka par kręciło się na niewielkim parkiecie.

W kwadratowej salce był już komplet gości. Kilka osób czekało jeszcze przy szatni w nadziei na jakiś wolny stolik. Zorientowawszy się w sytuacji postanowił wyjść Jaroniowi naprzeciw. Deszcz zresztą zmienił się w gęstą mżawkę i po kilku minutach ustał zupełnie, a on wolał porozmawiać z Jaroniem bez świadków. Wysokie podszycie mieszanego lasu, przy pochmurnym w dalszym ciągu niebie, sprawiało, że na drodze panował niemal półmrok.

Wreszcie zobaczył Jaronia. Od razu poznał jego charakterystyczną sylwetkę i sposób chodzenia. Był w nieprzemakalnym płaszczu i w ciemnym berecie na głowie. Nie ukrywał podniecenia.

- Masz znaczki? – zapytał
- Mam. Wybacz, że spotykam cię tutaj, ale w lokalu

pełno. Widzisz, jak wyglądam przez ten deszcz – wskazał na swoje przemoczone ubranie.

Jaroń sięgnął pod płaszcz i wydobyl szklane naczynie. Skwapliwie wyciągnął drugą rękę po kopertę. Usiłował zajrzeć do środka.

– Zostaw, obejrzysz w domu... Znowu zaczyna padać.

– Tylko spojrzę. Wiesz, ile mnie to kosztowało. – To mówiąc wysunął z koperty kartę ze znaczkami. Przystanął i podniósł ją do oczu. Odwrócił się. To nie był ten sam człowiek.

– Ty łajdaku! – krzyknął zduszonym głosem i podniósł do góry rękę, chcąc zadać mocny cios. – Za te papierki zrobisz mnie złodziejem!

– Jakie papierki! Nie znam się na znaczkach.

– Ja ci dam znaczki, bandyto!

W ułamku sekundy szklane naczynie wybite z ręki, którą usiłował się zasłonić, uderzyło o drzewo i rozprysło na drobne kawałki.

Zaczął się cofać przed wymierzanymi prawie na oślepie ciosami. Kiedy poczuł palce na swoim gardle, pchnął silnie Jaronia w pierś. Ten, próbując odzyskać równowagę, zrobił pół kroku do tyłu, przy czym noga osunęła mu się na śliskim mchu. Upadł na wznak z rozłożonymi rękami.

Podszedł teraz i pochylił się nad znieruchomiałą postacią. Potrząsnął za ramię.

– Andrzej! Co ty! Co ci jest? Odezwij się!

Dotknął dłonią szyi leżącego. Nie wyczuł pulsowania

tętnicy. Pojął nagle straszną prawdę. Wyprostował się i rozejrzał wokoło. Nikogo. Tylko lekki wiatr szeleścić liśćmi krzewów i poruszał gałęziami sosen. Przemógł paralizujący go strach i pochylił się ponownie. Zdjął z ręki Jaronia zegarek, z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, podniósł z ziemi kopertę i kartkę ze znaczkami. Ściskając to w ręku rzucił się do ucieczki. Nie czuł, że kolczaste gałęzie jeżyn czepiają się jego ubrania. Biegł, potykając się i ślizgając po nierównym terenie. Przebiegł tak może dwieście metrów, aż poczuł, że zaczyna mu brakować tchu. Ciężko dysząc oparł się o drzewo. Zaczął myśleć już nieco spokojniej. Spróbował zorientować się, gdzie się znajduje.

Deszcz zaczął znowu padać. Słyszał wysoko w górze narastający szum ulewy. Otarł dłonią zmoczoną twarz. Z prawej strony, niedaleko, zabrzmiał sygnał nadjeżdżającego pociągu. Szybko odgarnął mech, potem wygrzebał w miękkiej ziemi płytki dołek. Włożył tam zabrane przed chwilą przedmioty, zasypał ziemią i ponownie przykrył mchem. Udeptał nogami. Oczyszczył ubrudzone ręce o liście leszczyny. Ruszył biegiem w stronę, z której doszedł go głos pociągu, i zdążył jeszcze wskoczyć do ostatniego wagonu.

Znalazłszy się w domu wykręcił domowy numer Jaronia. Telefon odebrała żona.

- Dobry wieczór. Mówi Kłak. Czy zastałem męża?
- Dobry wieczór panu. Nie, wyszedł przed godziną...
- Bo widzi pani, umówił się ze mną o siódmej w

„Sosence” Mieliśmy pogadać i dotąd go nie ma.

– Nie wiem, co panu powiedzieć. Może coś go zatrzymało? Może wpadł na chwilę do pracy?

– To możliwe. Ja już nie będę czekał. Proszę mu powiedzieć, że skontaktuję się z nim jutro.

## 9.

Docent Zawidzki spóźnił się tego dnia kilkanaście minut do pracy. Z racji swej funkcji dyrektora naukowego instytutu miał pewne uprawnienia i w zasadzie nie obowiązywała go ścisła dyscyplina pracy. Z przywilejów tych jednak nie korzystał. Po pierwsze miał wieloletni nawyk wczesnego wstawania i rozpoczynania zajęć zawsze o godzinie siódmej, a po wtóre uważał, że przełożony nie powinien korzystać z przywilejów, których nie posiada cały zespół. Dzisiejsze spóźnienie, powód jego niezadowolenia, wynikało jednak z przyczyn technicznych. Trzykrotnie zatrzymał go na trasie jakiś defekt silnika samochodu.

– Nikt się jeszcze nie zgłaszał, ani nie dzwonił, panie docencie – poinformowała go sekretarka. – Oprócz pani magister Nowickiej, która właśnie czeka na pana docenta.

– Ja tylko na kilka minut, panie docencie, jeśli pan pozwoli – głos starej panny, osoby zwykle opanowanej, brzmiał jakoś dziwnie.

Zawidzki spojrział zdumiony. Znał od lat magister Zuzannę Nowicką i cenił ją jako zdyscyplinowaną pracownicę. Wiedział nawet o powodach, które skłoniły ją, kobietę jeszcze do dziś przystojną, do pozostania w stanie wolnym. Była zawsze spokojna, cicha, schodząca raczej innym z drogi. Wiedział, że do przełożonych przychodziła tylko w ważnych sprawach.

– Czy coś się stało? – zapytał z uśmiechem. – Proszę, niech pani magister wejdzie. Napijemy się wspólnie kawy. Doprawdy, rzadko panią widuję – mówił zamykając drzwi. – W czym mogę pani pomóc?

– Ach, panie docencie, całą noc nie spałam, brałam proszki nasenne, nie wiedziałam, co zrobić, powinnam była już wczoraj – wybuchnęła lawiną słów.

– Proszę się uspokoić. Dlaczego pani nie mogła zasnąć? Zapali pani? – podsunął pudełko.

– Nigdy nie donosiłam na nikogo, panie docencie, a teraz... powinnam była sama mu przeszkodzić,...

– Niech mi pani spokojnie opowie, co się stało.

– Panie docencie, opowiem wszystko dokładnie, tylko chciałabym, aby nie uważał mnie pan za donosicielkę...

– Zbyt długo panią znam i zbyt cenię, bym mógł nagle zmienić zdanie o pani.

Stara panna obrzuciła go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Jak pan wie, pracuję w jednym pokoju z panem

magistrem Zduńskim, a obok, w drugim, pan magister Witkowski i pan Jaroń. Pokoje są przedzielone oknem, a właściwie szklaną ścianą – spozrzała na Zawidzkiego.

– Śledzę tok pani myśli. Proszę dalej.

– Otóż wczoraj po południu była u pana docenta odprawa kierowników pracowni. Poszli więc na nią pan magister Zduński i pan magister Witkowski. Ja musiałam wyjść na chwilę i pan Jaroń został sam w całym pomieszczeniu. Kiedy po chwili wróciłam do naszego pokoju, spozrzałam mimo woli w tamtą stronę i spostrzegłam, że bierze z sejfu pojemnik z PCL-100. Zdziwiło mnie to trochę, ale w tym momencie jeszcze nie miałam żadnych podejrzeń. Nie odwracałam jednak wzroku, sama nie wiem dlaczego. Patrzałam, co on robi. I niech pan sobie wyobrazi, że sięgnął po dużą zlewkę, nappełnił ją proszkiem z pojemnika, po czym zlewkę owiniętą w kawałek folii schował do swojej teczki, a pojemnik odstawił do sejfu. Cofnęłam się do ściany, a potem cicho wyszłam z pracowni. Kiedy wróciłam, specjalnie głośno otwierając drzwi, pan Jaroń siedział przy stole i spokojnie czytał gazetę. Zamieniliśmy potem kilka słów na temat narady, ale ja byłam tak zbulwersowana, że nie potrafiłam myśleć. Właściwie przyszło mi do głowy, że powinnam go była spytać, co to wszystko miało znaczyć, ale jakoś nie mogło mi to przejść przez usta.

Zawidzkiemu ścierpła skóra. To, co usłyszał, było wprost niewiarygodne.

– Dziękuję pani magister za tę informację – powiedział starając się, by wypadło to możliwie najspokojniej, chociaż miał w tej chwili ochotę krzyknąć i potrząsnąć tą smętną postacią siedzącą przed nim i patrzącą zażawionym wzrokiem. – Niech pani wraca do swoich zajęć. Stanowczo pani zabraniam opowiadania o tym komukolwiek. – Zabrzmiało to dość ostro, ale z trudem panował nad sobą. – Nikt, rozumie pani, nikt nie może się o tym dowiedzieć!

– Oczywiście, panie docencie. – Nowicka wyglądała już na spokojną, a nawet zadowoloną, że spełniła swój obowiązek i pozbyła się, chociaż może zbyt późno, gnębiącego ją ciężaru. Wycofała się w ukłonach z gabinetu, usiłując przywołać na swoje przywidłe wargi coś w rodzaju uśmiechu.

Zawidzki przycisnął klawisz aparatu.

– Z szefem ochrony proszę – rzucił do mikrofonu.

– Jest w bloku D3 – odpowiedziała po chwili sekretarka. – Czy pan docent każe przywołać go przez radio?

– Nie, dziękuję. Proszę go nie szukać.

Zawidzki pomyślał, że rozmowa z szefem ochrony nie zmieni sytuacji.

– Proszę mnie połączyć z panem magistrem Witkowskim.

Odczekał chwilę. Kiedy zgłosił się kierownik pracowni, Zawidzki nie mógł powstrzymać wzburzenia.



– Proszę natychmiast przyjść do mnie i proszę zabrać ze sobą pana Jaronia.

– Panie docencie... ja oczywiście będę natychmiast, ale pan Jaroń...

– Co, do diabła, dzieje się z tym Jaroniem! – krzyknął Zawidzki. – Chory, nieżywy, czy może wyjechał?

– Przepraszam, panie docencie, ale udzieliłem mu wczoraj zezwolenia na przyjście dwie godziny później. Kiedy tylko się zjawi...

– Oczywiście Przepraszam pana. Jestem dziś w wyjątkowo złym nastroju. Naturalnie miał pan prawo udzielić takiego zezwolenia. Proszę mnie zawiadomić o powrocie pana Jaronia.

## 10.

– Obywatelu kapitanie, mam na linii docenta Zawidzkiego z zakładu w Iglinach. Major Mirski jest nieobecny, więc może pan podejdzie? Podobno pilna sprawa.

– Tak, oczywiście, już idę – kapitan Dębski zatrzasnął szafę i udał się do sekretariatu szefa wydziału.

Podoficer dyżurny podał mu odłożoną słuchawkę. Przedstawił się. Chwilę słuchał w milczeniu, potem rzucił:

– Będę za pół godziny. Bardzo proszę, niech pan nie nadaje rozgłosu tej sprawie. Ewentualne wyjazdy czy wyjścia pracowników proszę wstrzymać do mojego przyjazdu. – Wcisnął guzik selektora. – Dyżurny? Proszę natychmiast wóz pod blok. Odnajdźcie również porucznika Laskowskiego. Niech czeka na dole.

Laboratorium, czyli wydział DI w zakładach chemicznych w Iglinach, mieściło się w sporym budynku stojącym nieco na uboczu, z dala od potężnych hal produkcyjnych. Front tego dwupiętrowego budynku wychodził na główną halę produkcyjną, lewe skrzydło znajdowało się naprzeciw niskiego magazynu, a pozostałe dwie ściany dzieliło zaledwie kilka metrów od wysokiego parkanu otaczającego zakłady. Wejście było tylko jedno, od frontu.

W obszernym hallu czekał już na kapitana dyrektor naukowy zakładów, docent Jerzy Zawidzki. Szpakowaty mężczyzna o zadziwiająco młodej twarzy i szczupłej sylwetce był wyraźnie zdenerwowany. Głos mu drżał, gdy wypowiadał słowa powitania.

– Może od razu przejdziemy do mojego gabinetu. Czy też pan kapitan ma inne zamiary?

– Proszę, niech pan prowadzi, panie docencie. Najpierw porozmawiamy u pana. To jest porucznik Laskowski.

Wygodne fotele w gabinecie docenta Zawidzkiego i rozchodzący się aromat kawy mogły w innych warunkach przyczynić się do rozjaśnienia tego pochmurnego,

siąpiącego jeszcze deszczem dnia.

– Niech mi pan powie, panie docencie, jak to się mogło stać? Co pan sam o tym sądzi?

– Proszę mi wierzyć, że jestem wstrząśnięty. Nie rozumiem tego.

– Myślę, że można wierzyć magister Nowickiej?

– Z całą pewnością. To solidny pracownik. Trochę może nieporadna życiowo, ale pod każdym względem godna zaufania.

– Jedno jest pewne – Dębski wyjął notes i długopis. – Dokonanie kradzieży oraz przekonanie sprawcy, że nikt go nie widział. Pozostaje pytanie, do czego Jaroniowi była potrzebna ta substancja?

W odpowiedzi docent Zawidzki rozłożył bezradnie ręce.

Dębski spojrzał na zegarek:

– Do chwili przewidywanego powrotu Jaronia pozostało jeszcze jakieś pół godziny. Może pan, panie docencie, poprosi magistra Witkowskiego? Chciałbym z nim porozmawiać.

Witkowski zjawił się niemal natychmiast. Na widok nieznanym zatrzymał się w progu.

– Czy coś się stało, panie docencie?

– Ci panowie są z wojskowego kontrwywiadu. Niech pan siada. Mamy pewną sprawę do wyjaśnienia.

– Chciałbym przy okazji powiedzieć, panie docencie, że niestety pan Jaroń jeszcze się nie zjawił.

– Właśnie o nim chcieliśmy z panem mówić – wtrącił Dębski.

- Jestem do dyspozycji panów, ale...
- Od jak dawna Jaroń pracuje w Iglinach?
- Siedem lat. Z wykształcenia jest technikiem chemikiem. Poprzednio pracował w Łodzi w zakładach włókien syntetycznych. Także w laboratorium.
- Mieszka w Warszawie?
- Nie. Jakież półtora kilometra stąd. Tu w okolicy są takie miniosiedla rozsiane wzdłuż linii kolejowej. Jego żona nie pracuje. Zajmują mały dom. Podobno spadek po krewnych.
- Coś o charakterze Jaronia...
- Niewiele mogę powiedzieć – zawahał się Witkowski. – Raczej odludek. Małomówny. Zawsze wydawało mi się, że jest całkowicie pochłonięty pracą, którą zresztą wykonuje bez zarzutu. Jest człowiekiem oszczędnym i pedantycznym. Czasami jego systematyczność jest nawet denerwująca... Czy mogę wiedzieć, dlaczego panowie o niego pytają?
- Mamy wiarygodną informację, że wczoraj, kiedy trwała odprawa kierowników pracowni, Jaroń odsypał z pojemnika w sejfie pewną ilość substancji – Dębski zajrzał do notesu – PCL-100. Szklane naczynie z tą substancją schował do teczki i najprawdopodobniej wyniósł z zakładu.
- Ale po cóż by to zrobił? To niemożliwe!
- Obawiam się, że to niestety prawda. Jest naoczny świadek tego faktu...

– Kto? – wyrwało się Witkowskiemu.  
– Panie magistrze! – odezwał się karcącym tonem Zawidzki.

– Przepraszam.

Dębski odchylił się w fotelu i badawczym spojrzeniem obrzucił naukowców.

– Jest już po fakcie, panowie. Proszę mi jednak powiedzieć, czy u was przy wejściu i wyjściu istnieje jakaś kontrola? Przepisy w tej sprawie są jasne...

Przez chwilę panowało milczenie. Zawidzki sięgnął do kieszeni marynarki po papierosa, zapalił i nerwowo zaciągnął się dymem.

– Cóż.... – zaczął, spuszczać wzrok. – To moja wina. Kiedy naszymi badaniami zaczęło interesować się kilka resortów, wprowadzono przepustki i obowiązek kontrolowania wychodzących. Wszyscy zapoznali się ze stosownymi przepisami o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej. Proszę nie uważać tego, co powiem, za próbę wytłumaczenia się, ale tworzyliśmy do tej pory niezbyt duży kolektyw. Wszyscy się znają. Przez kilka dni portier kontrolował pracowników, a potem jakoś poszło to w zapomnienie...

– Wrócimy jeszcze do tej sprawy – podjął Dębski.  
– Proszę mi teraz wyjaśnić, panie docencie, jaką wartość przedstawia PCL-100, a ściślej mówiąc prawdopodobna porcja tej substancji zabrana przez Jaronia?

– Orientuje się pan, kapitanie, że aktualnie zajmujemy się badaniami, i to już z niewątpliwym

pozytywnym skutkiem, nad wynalezieniem nowej masy plastycznej o szerokich właściwościach użytkowych w wielu różnych dziedzinach. Tajemnicę stanowi jej skład, ściślej mówiąc proporcje kilku przygotowanych i już wypróbowanych substancji uzyskiwanych metodą przemysłową. Współczesne pracownie naukowe sposobem prowadzenia badań przypominają produkcję taśmową. Na każdym etapie wypowiedają się inni specjaliści. Do pracowni, w której był zatrudniony Jaroń, trafiły, mówiąc językiem produkcji, surowce, z których powstawał później określony półfabrykat. Jeszcze jeden etap, jeszcze jedna pracownia, i gotowy produkt mógł być poddany próbom.

– Załóżmy, że wyniesiona przez Jaronia substancja trafia w niepowołane ręce... Jakie to może mieć znaczenie? Rozumie pan, co mam na myśli?

– Może odpowiem na przykładzie. Gdyby podobny produkt trafił do naszego laboratorium bez żadnej informacji, a tylko z określeniem co do rodzaju, musielibyśmy mieć trzy do pięciu tygodni, by zbadać jego skład i przydatność. Znając przeznaczenie substancji, moglibyśmy znacznie skrócić czas badań. Zakładam, oczywiście, że mielibyśmy nieco szczęścia, bowiem czynnik ten, chociaż nie jest decydującym, też musiałby być brany pod uwagę. Jeśli więc dobrze zrozumiałem pytanie, to sprawa tak się właśnie przedstawia... – Zawidzki zamilkł. W pokoju panowało milczenie. – Wie

pan, co nu przyszło do głowy? – podjął po chwili. Nie dokończył jednak rozpoczętej myśli, gdyż w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wpadła sekretarka. Docent zmarszczył z niezadowoleniem brwi. – Prosiłam przecież, aby nam nie przeszkadzano.

– Panie docencie, dzwoniła przed chwilą żona Jaronia. Pan Jaroń nie żyje! Znaleziono go w lesie niedaleko domu.

– Jeszcze tylko tego brakowało – jęknął Zawidzki i bezradnie spojrzął na Dębskiego. Ten przejął natychmiast inicjatywę.

– Gdzie to jest? – zawołał zrywając się z fotela. – szybko, adres!

– Ja wskażę – odezwał się Witkowski.

Biały fiat ostro ruszył sprzed instytutu. Przy kierowcy siedział magister Witkowski, pełniący funkcję pilota. Kiedy skończył się pas betonu, wyjechali na szosę biegnącą wzdłuż linii kolejowej.

– Tędy będzie nieco dalej, ale przez las byśmy nie przejechali – odezwał się Witkowski.

Po kilku kilometrach skręcili w prawo, w leśną, nieco wyboistą, ale dość wygodną drogę. Jeszcze parę minut i oczom ich ukazała się stojąca na poboczu szara milicyjna nysa, obok karetka pogotowia i kilka sylwetek w mundurach. Na środek drogi wyszedł milicjant i ruchem ręki nakazał zjechać na bok i zatrzymać się. Dębski wyskoczył z samochodu, chwilę rozmawiał z

milicjantem, w końcu poprosił o wskazanie kierownika ekipy.

– W granatowym płaszczu. Porucznik Ratkiewicz.

Milicjanci kończyli już zwykle w takich razach czynności. Podeszli bliżej. Jaroń leżał na wznak kilka metrów od skraju drogi, jedną rękę miał odrzuconą w górę, czarny beret leżał obok – wdeptany nieco w ziemię. Wokół zwłok tkwiły metalowe pręty tabliczek z numerami. Porucznik Ratkiewicz stał na uboczu, palił papierosa i rozmawiał z lekarzem.

– Czym mogę służyć, obywatelu kapitanie? – spytał obejrzawszy legitymację Dębskiego.

– Interesujemy się od pewnego czasu sprawami związanymi z zakładami w Iglinach. Ostatnio wyszedł nam w sprawie jeden z pracowników, Jaroń. Właśnie ten. – Ruchem głowy wskazał zwłoki. – Dlatego tu jesteśmy. Wiadomość o jego śmierci zaskoczyła nas... Czy znane są czas i przyczyna zgonu?

– Cóż... z tego, co w tej chwili wiemy, wynika, że śmierć nastąpiła wczoraj wczesnym wieczorem, przeleżał więc tu całą noc. A przyczyny? Bodziemy je znali dopiero po sekcji. Na razie stwierdziliśmy, że ma rozbitą głowę, a na tym kamieniu są ślady krwi. Upadł na reper, czyli betonowe oznaczenie punktu geograficznego, służącego do pomiarów topograficznych. O innych śladach trudno mówić, bo wczoraj do późnej nocy padał deszcz. Poza tym gruba warstwa igliwia uniemożliwia



ujawnienie ewentualnych śladów stóp...

– Znaleźliście coś przy nim?

– Prawie nic, jeśli nie liczyć takich drobiazgów jak grzebień, chusteczka i kilka złotych w bilonie. Żadnych dokumentów. Dla porządku zebraliśmy kilka dużych odłamków szkła leżących przy zwłokach i jakieś papiery... Nie wiem, czy to coś da, bo tego w lesie normalnie nie brak.

– Czy to wskazywałoby na motywy rabunkowe?

– To powinno wykazać dochodzenie – skrzywił się porucznik. – Obywatel kapitan widzi, że obecnie niczego jeszcze nie można stwierdzić.

– I jeszcze jedno – nie ustępował Dębski. – Kto zawiadomił was o znalezieniu zwłok?

– Pewien gospodarz. Jechał rowerem do pracy i wioził mleko Jaroniom. Żona jest teraz w domu. Jest z nią jeden z naszych ludzi. Sprowadziliśmy również sąsiadkę, by się nią zajęła. Jaroniowa doznała szoku i nasz lekarz musiał udzielić jej pomocy. Teraz jest już lepiej, ale myślę, że do rozmowy się jeszcze nie nadaje. Przyjadę tu trochę później. Jeśli obywatel kapitan interesuje się dalszym przebiegiem dochodzenia, to proszę porozumieć się z naczelnikiem wydziału, podam wam numer telefonu. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, byście przejęli tę sprawę – uśmiechnął się.

– Jeszcze jedno, towarzyszu poruczniku. – Dębski ujął oficera pod ramię. Odeszli kilka metrów w bok. – Mam pewne podstawy, by sądzić, że to szkło, to resztki naczynia, w którym Jaroń wyniósł z zakładów pewną

substancję. A mamy tam produkcję specjalną.

Ratkiewicz spojrzął na kapitana.

– Rozumiem – powiedział przeciągając sylaby. – Wobec tego weźmiemy również próbki gruntu z miejsc, w których leżały odłamki. Dostarczycie nam materiał porównawczy i będziemy wiedzieli, czy wasze podejrzania są słuszne.

## 11.

Kapitan Dębski i porucznik Laskowski rozmawiali właśnie o tym, jak nieoczekiwany obrót przybrała sytuacja, kiedy do pokoju wszedł major Mirski. Obaj oficerowie wstali.

– Kapitanie Dębski – zaczął major, kładąc na biurku cienką teczkę z aktami – przejmujecie od dziś dochodzenie w sprawie zabójstwa Jaronia, gdyż łączy się ono z naszym głównym problemem. Towarzysze z milicji wykonają dla nas potrzebne ekspertyzy i będą nam w miarę potrzeby pomagali. We wszystkich sprawach możecie zwracać się bezpośrednio do porucznika Ratkiewicza. W tej teczce – kontynuował Mirski – znajdziecie protokoły oględzin miejsca, w którym znaleziono ciało, i sekcji zwłok. Z dokumentów wynika, że śmierć Jaronia nastąpiła w wyniku złamania podstawy czaszki przez uderzenie o betonowy słupek. Jaroń zginął między godziną dziewiętnastą a dwudziestą.

Śladów walki czy też wleczenia zwłok brak, ale sami widzieliście, jak to wyglądało po tej ulewie. Ułożenie zwłok oraz ten jak gdyby wdeptany w ziemię beret – Mirski wyjął z teczki zdjęcie – wykluczają moim zdaniem nieszczęśliwy wypadek. To tyle. Weźcie się teraz ostro do roboty. Ciekawsze szczegóły chciałbym znać zaraz, bo interesuje się tą sprawą szef. Aha – dodał już z ręką na kłamce. – Zakład Kryminalistyki bada próbki gleby pobrane w bezpośrednim sąsiedztwie zwłok. Porównają to z materiałem wyprodukowanym w Iglinach. Według mnie, wasze przypuszczenie, że Jaron miał przy sobie tę substancję, zostanie potwierdzone.

Kiedy zostali sami, Dębski zadzwonił po porucznika Maciejewskiego.

– Rozdzielimy teraz zadania. Ty, Marian – zwrócił się do Laskowskiego – pojedziesz do instytutu i przejrzysz w kadrach akta Jaronia. Ja zabiorę się z tobą i porozmawiam z jego żoną. Ty – spojrzął na Maciejewskiego – zostaniesz na miejscu. W razie potrzeby podejmiesz dodatkowe działania Będziemy z tobą w kontakcie. Spotkamy się tu o piętnastej. Myślę, że uporamy się ze wszystkim do tej pory.

– Fakt zabrania przez Jaronia z laboratorium PCL-100 – wtrącił Laskowski – potwierdza naoczny świadek. Jeśli potwierdzi to również ekspertyza, będziemy musieli ustalić tylko, z kim się wówczas spotkał.

– Ba, o to „tylko” właśnie chodzi. Może na ten temat uda mi się czegoś dowiedzieć w rozmowie z Jaroniową.

Dębski wysiadł z samochodu przy drodze wiodącej do Iglin. Postanowił przejść trasę, jaką owego krytycznego wieczoru musiał przypuszczalnie posuwać się Jaroń. Mijając miejsce znalezienia zwłok, poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Po raz pierwszy w swojej pracy zetknął się z morderstwem. W działaniach wywiadów nie tak znowu często rozstrzyga kula czy trucizna. Może częściej „nieszczęśliwy” wypadek? W zestawieniu z informacjami przekazanymi przez Służbę Bezpieczeństwa śmierć Jaronia i kradzież materiału z laboratorium instytutu wydawały mu się nienaturalne. Za proste. Jakoś przerażająco prymitywne. Było chyba mało prawdopodobne, aby Jaroń miał powiązania z jakimkolwiek ośrodkiem wywiadowczym. Przeszkolony agent wykonałby to wszystko inaczej.

Poczuł nagle obawę, że zadanie, jakie otrzymał, może przekraczać jego możliwości. Ilekroć zaczynał nową sprawę, zawsze tak myślał. Zwątpienie. Nie, stanowcza pewność. Mówiono mu zawsze, że człowiek posiada zdolności, które uzewnętrzniają się tylko w przypadkowych okolicznościach. Jego profesor na uczelni zwykł był mawiać: „Zwątpij we wszystko przynajmniej raz. Nawet w dogmat”. A może przede wszystkim w dogmat?

Tak rozmyślając, pochylony nieco do przodu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, z rękami założonymi do tyłu, szedł wolno trawiastą koleiną leśnej drogi. W miejscu, gdzie przedwczoraj rozegrała się tragedia,

zostały tylko na pół zatarte ślady opon milicyjnych samochodów i ledwie wystający, z ziemi betonowy słup, z powierzchni którego deszcz już zmył resztki krwi.

Domek Jaroniów był niewielki, parterowy, z facjatką na strychu. Otaczał go wypielęgnowany ogród. Wiele podobnych spotykało się w tej okolicy. Kiedy Dębski zbliżył się do płotu, kobieta w czarnej chustce i spódnicy wrywała właśnie marchew. Pchnął furtkę i wszedł do środka. Na odgłos jego kroków kobieta wyprostowała się.

– Pan do kogo?

Wyjął legitymację.

– Nazywam się Dębski. Chciałbym z panią porozmawiać. Przepraszam, ale to konieczne.

## 12.

Kellermann miał powody do zadowolenia. Odprawa w Wiedniu, na którą wezwano także przedstawiciela z Budapesztu, przyniosła mu sporą satysfakcję. Zaakceptowano w całości jego działalność oraz wszystkie plany i zamierzenia. Przedstawiciel centrali w oszczędnych słowach wyraził nawet swoje zadowolenie.

Już później, w samolocie lecącym do Warszawy, Kellermann przypomniał sobie tę chwilę. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Szczupła stewardessa roznosząca

napoje wzięła widocznie ten uśmiech do siebie, gdyż odpowiedziała kokieteryjnym spojrzeniem. A może spróbować się z nią umówić? – zastanowił się przez moment, biorąc kieliszek koniaku z tacy. Postanowił, że po zakończeniu działalności w Warszawie zafunduje sobie dłuższy urlop w Hiszpanii. Koniecznie z Christine. I nie będzie o niczym myślał.

Podróż, w trakcie której uciął sobie nawet małą drzemkę, szybko dobiegła końca. Po wylądowaniu nie czuł najmniejszego zmęczenia. Jeszcze z lotniska zadzwonił do Małgorzaty. Numer w pracowni nie odpowiadał, połączył się więc z domem.

– Widzę, że leniuchujesz? – zawołał wesoło, kiedy w końcu podeszła do aparatu. – Co byś powiedziała, gdybyśmy spotkali się jeszcze dziś? Muszę jeszcze załatwić kilka drobnych spraw, ale to nie potrwa dłużej niż całe popołudnie i wieczór mam dla ciebie.

– Wiesz, że kiedy ciebie nie ma, nic mi się nie chce. Nareszcie wróciłeś! Oczywiście przyjdiesz do mnie. Na pewno jesteś zmęczony podróżą, więc posiedzimy sobie w domu. Zjemy kolację. Będzie kapusta faszerowana.

– Za twoją kuchnią stęskniłem się prawie tak samo, jak za tobą – zażartował.

– Niedobry jesteś. Wstręciuch. Zaraz to odwołaj, bo się obrażę.

– Będę o osiemnastej i wtedy zjem ciebie i kapustę. Oszczędzę tylko Weronikę.

– Będziesz musiał, bo spędza dziś wieczór u rodziny. Tylko Robercie, ta godzina... – Zawahała się. Wiedziała, o co jej chodzi. Był wtorek, a Małgorzata we wtorki „składała wizytę” manikiurzystce. – Może przyjdiesz o siódmej?

– Dobrze, Małgosiu. – Bardzo lubiła, kiedy wymawiał zdrobniale jej imię. – Niech będzie o siódmej. Jak się miewa twój brat?

– Bogdan? Ten ciągle pracuje. Zawsze ma coś pilnego. No, to pa, do wieczora.

W hotelu odświeżył się, przejrzał korespondencję, uznał, że nie ma nic pilnego, powiedział parę komplementów sekretarce i wyszedł na spacer. Lubił od czasu do czasu pochodzić po ulicach i pogapić się na sklepowe wystawy. W Pasażu Śródmiejskim przystanął przed sklepem z zabawkami. Chwilę medytował i wszedł do wnętrza. Kupił małą lalkę maskotkę i pudełko z plasteliną. Zadowolony z zakupu wstąpił do baru. Zamówił kieliszek wina i wyjął papierosy. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, ale zrezygnował.

– Proszę o zapalniczki – zwrócił się do barmana.

Ten usłużnie pstryknął zapalniczką, widząc w ręce gościa papieros. – Dziękuję, ale chciałem pudełko zapalek. – Obracał w palcach pudełeczko przyglądając się nalepce.

Zgasił papierosa, zapłacił za wino i skierował się do hotelu. Po drodze kupił kilka gazet. W pokoju odprawił sekretarkę, wyjął zakupione przedmioty i ułożył je na stoliku. Wziął z opakowania trzy paleczki plasteliny i

zaczął je ugniatać w dłoniach. Ulepił kulkę, potem nadał jej kształt małego prostopadłościanu. Wysypał z pudełka zapalki i szczyrykiem wyciął w dłuższym boku dwa półokrągłe wycięcia. Dostosował wielkość bryłki plasteliny do wymiarów pudełka i starannie wygładził powierzchnię. Wsunął szufladkę na swoje miejsce i schował pudełko do kieszeni marynarki. Do drugiej włożył lalkę. Zapalki wraz z resztą plasteliny zawinął w kawałek gazety i splekał w łazience. Chusteczką wytarł dokładnie powierzchnię stolika.

Ułożył się wygodnie i zaczął studiować prasę.

O osiemnastej trzydzieści dzwonił do mieszkania Zagórskich. Kiedy w otwartych drzwiach ukazał się Bogdan, Kellermann zrobił z lekka zawiedzioną minę.

– Proszę, niech pan wejdzie, Małgorzata uprzedziła mnie o pańskiej wizycie. Cieszę się. Będzie się pan musiał trochę ponudzić w moim towarzystwie, gdyż siostra wróci do domu po siódmej.

– Mam skrupuły, że przeszkadzam panu w pracy – powiedział z zakłopotaniem Kellermann.

– Muszę się panu przyznać, że z tą moją pracowitością to lekka przesada. Moja siostrzyczka stworzyła tę legendę. W gruncie rzeczy wolę poczytać coś lekkiego, obejrzeć telewizję. Czasami naturalnie trzeba przysiąść, ale wtedy staram się pracę traktować jak jakąś przyjemność. Proszę, niech pan siada. – Posadził gościa w fotelu, sam zajął miejsce naprzeciwko, ale zaraz podniósł



się. – Właściwie miałem zamiar skończyć na dziś z robotą. – Zebrał z biurka papiery i schował je do regału. – Kieliszek czegoś mocniejszego i rozmowa, czy też jakaś książka lub gazeta. Proszę wybierać – powiedział z uśmiechem.

– Jeśli można wybierać, to oczywiście to pierwsze. Zagórski otworzył barek.

– Pamiętam, że lubi pan Canadian Club. Przyniosę lodu – dodał i wyszedł do kuchni.

Kellermann został sam. Rozejrzał się po pokoju. Dwie ściany pomieszczenia zastawione były regałami wypełnionymi po brzegi książkami. Niektóre, oprawione w brązową skórę, lśniły złożonymi tytułami. Regały wykonane były z dębowego drewna o ciemnym połysku. Pionowe elementy ozdobione zostały reliefami o motywach roślinnych. W jednym z segmentów był zamontowany barek, w drugim, symetrycznie, małe pomieszczenie w rodzaju skrytki. W zamkniętych drzwiczkach schowka tkwił mały, misternie wykonany kluczyk. Umebłowania dopełniało biurko z obrotowym nowoczesnym fotelem oraz dwa potężne klubowce przy małym stoliku. Wstał i podszedł do regału. Kroki tłumił skutecznie gruby dywan pokrywający całą powierzchnię podłogi. Miał ochotę otworzyć schowek, wyciągnął już rękę, ale cofnął się natychmiast i poszedł do kuchni. Zastał gospodarza przyrządzającego właśnie kanapki.

– Panie Bogdanie, tyle kłopotu...

– Drobiazg. Lubię, jeśli nie muszę czynić tego zbyt często, pokręcić się po kuchni – odparł Zagórski.

– Jeśli tak, to odważę się poprosić pana również o kawę. Wróciłem dziś z podróży – dodał tonem wyjaśnienia.

– Bardzo proszę! Niech pan wybierze sobie jakąś książkę. Ja dosłownie za pięć minut uporam się z tym wszystkim i wracam do pana.

Kellermann przeszedł do gabinetu i bez pośpiechu otworzył schowek w regale. Przeczytał napis na leżącej na wierzchu teczce i uśmiechnął się z zadowoleniem. Zamknął schowek i wyjął kluczyk z zamka. Z kieszeni wyjął pudełeczko z plasteliną. Odcisnął dwie strony kluczyka w miękkiej masie, a później wsunął kluczyk pionowo. Przyjrzał się dokładnie gładkiemu metalowi. Plastelina była dobrze ulepiona i nie zostawiła na nim żadnych śladów. Na wszelki wypadek wytarł go dokładnie chusteczką. Wziął z półki pierwszą z brzegu książkę i usiadłszy w fotelu pogрузzył się w lekturze. Za chwilę usłyszał zbliżające się kroki Zagórskiego. Gospodarz wszedł z tacą, na której oprócz wiaderka z lodem stała filiżanka kawy i talerzyk z kanapkami. Napełnił szklaneczki i usiadł naprzeciw gościa.

Wkrótce nadeszła Małgorzata i, widząc obu mężczyzn w doskonałych humorach, uśmiechnęła się promiennie. Już kilkakrotnie miała zamiar przyznać się bratu do więzów łączących ją z Robertem, ale coś ją od tego powstrzymywało.

– Porozmawiajcie sobie jeszcze przez chwilę, a ja przygotuję kolację. Nie będę musiała później się tym zajmować i będę miała czas wyłącznie dla was.

– A ja mam inny pomysł! – zawołał Zagórski. – Skoro Weronika zrobiła sobie wychodne, to i my możemy. Zapraszam was na kolację do Bristolu.

– Pomysł niezły, ale ja nastawiłam się na kolację w domu. Tym bardziej że w przyszłym tygodniu... Nie wiem, czy wspomniałeś już Bogdanowi – zwróciła się do Kellermanna.

– Nie zdążyłem. Otóż mija pół roku od chwili mojego przyjazdu do Warszawy. Chciałbym to jakoś uczcić. W Warszawie, w sferach handlowych, panuje miły zwyczaj zapraszania przy podobnych okazjach do Opery. Zarezerwowałem kilka biletów na środę. Wystawiają właśnie „Spartakusa”. Po przedstawieniu chciałbym zaprosić wszystkich na kolację. Sądzę, że pan mi nie odmówi, bo Małgorzata już mi obiecała...

– Z największą przyjemnością. To teraz możemy wypić za następne co najmniej pół roku pana pobytu w Polsce, jeżeli to pierwsze zalicza pan do tak udanych.

– Tak więc dogadaliśmy się, moi mili. – Małgorzata skierowała się do kuchni. – Za pół godziny będzie kolacja.

Wizyta Kellermanna przeciągnęła się prawie do północy. Zagórski, który miał wspaniały humor, zaproponował gościowi przejście na ty. Najbardziej ucieszyła

się z tego Małgorzata.

Jeszcze dwa takie wieczory i zostaną na stałe w rodzinie – pomyślał Kellermann już w taksówce.

Nazajutrz wstał dość wcześnie. Jeszcze przed tygodniem upatrzył niedaleko hotelu niewielki warsztat ślusarski.

Wszedł do ciasnej klitki zawieszanej różnym żelastwem.

– Ja do pana z poufną prośbą – zwrócił się do właściciela. – Mam taki kłopot... Wie pan, ja często wyjeżdżam... Moja żona to dobra kobieta, ale coś mi się wydaje, że chyba mnie zdradza...

Ślusarz z politowaniem pokiwał głową.

– To chcesz pan pewnie zamówić pas cnoty, co? Przyrowadź pan kobietę, to wezmę miarę.

– Dobre by to było – westchnął gość. – Widzi pan, żona wynajmuje na poczcie skrytkę na listy. Dopiero niedawno się o tym dowiedziałem. Podejrzewam, że ma kogoś. We Wrocławiu. Postanowiłem, że będę otwierał jej listy i jak stwierdzą, że on przyjeżdża, nie wypuszczę w tym dniu żony z domu. Chyba w ten sposób romans się skończy, bo temu facetowi nie będzie się opłacało przyjeżdżać na próżno.

– Jasne – zgodził się ślusarz. – Dobrze pan to sobie wykombinował. Zrób pan tak. Tylko co ja mam do tego? Sam pan nie możesz sobie tych listów czytać?

– Nie o to chodzi – uśmiechnął się klient. – Z pana to wesoły człowiek. O, tu mam takie coś. – Wyjął z kieszeni pudełko. – W nocy odcisnąłem kluczyk w plastelinie. Czytałem w jakimś kryminale, jak to się robi. Jeśli pan dorobi mi klucz według tego wzoru, to ja jej pokażę.

– No, no, całkiem fachowo pan to zrobił. Dobra jest, będzie kluczyk. Chociaż lepiej by było, jakby pan sprawił szanownej małżonce porządne lanie. Taniej i skutek murowany.

– Gdyby pan ją znał – rozmarzył się klient.

– W porządku. Nie moja sprawa. Idź pan na kielicha, a za pół godziny będzie robota.

Fajtłapa – pomyślał z niesmakiem odprowadzając wzrokiem wychodzącego gościa. A wygląda na chłopa...

## 13.

Edmundowi nie odpowiadała dzisiaj żadna propozycja Barbary. Nie chciał pójść do kina, nie wyrażał też chęci spędzenia wieczoru w lokalu. Nie pozostało jej więc nic innego, jak przyjechać do jego kawalerki. Wezła tam nadąsana i nachmurzona.

– Tyle razy ustalaliśmy, że przed naszym wyjazdem powinniśmy mieć trochę rozrywki, bo przecież nie od tego tam zaczniemy...

– Cicho bądź! – przerwał. – Czy nie możesz wreszcie zrozumieć, że nie należy o tym głośno mówić?

– Przecież nie jesteśmy w kawiarni, tylko u ciebie w mieszkaniu, głuptasku. – Barbara, widząc, że Edmund nie jest w dobrym nastroju, od razu stała się łagodna i miła. Chciała go pocałować, ale Edmund odsunął ją z grymasem zniecierpliwienia.

– Ściany też mają uszy. Tyle razy ci to powtarzałem.

– Już dobrze, kochanie – Barbara wolała nie dopuścić do najmniejszej sprzeczki. – Już ani słowa o naszej wspólnej tajemnicy. Czy przygotować coś do jedzenia?

– Najwyżej sobie, mnie wystarczy kawa. – Edmund włączył telewizor i wyciągnął się na tapczanie.

Barbara zaczęła krzątać się po mieszkaniu. Nalała wody do czajnika, zapaliła gaz, wyciągnęła z szafki pod oknem i z lodówki wiktuały. Co chwilę spoglądała na Edmunda, który zamiast w telewizor, patrzył na ścianę. Podeszła, położyła się obok i przytuliła. Odwzajemnił się pogłaskaniem jej ramienia.

– Zrozum, że mam teraz tyle rzeczy na głowie. Chciałbym jak najlepiej wszystko zorganizować.

– Ależ ja to doskonale rozumiem. Przecież robię wszystko, co każesz.

– Tak, dobra z ciebie dziewczyna. A co nowego w zakładzie? – zmienił temat.

Wy tłumaczył jej już dawno, dlaczego interesują go problemy jej zakładu i produkcji. Bez trudności uzasadnił,

że ma to ogromne znaczenie dla urządzenia się ich obojga w przyszłości, naturalnie za granicą. Takie argumenty zawsze znajdowały u niej zrozumienie. Wydawało się jej rzeczą naturalną, że tego rodzaju wiadomości będą użyteczne i opłacalne. Zaczęła więc z zapałem relacjonować:

– Znów byli ci z WSW. W naszym wydziale zostały wprowadzone nowe przepustki. Są różnokolorowe. Dany kolor upoważnia posiadacza do poruszania się tylko po określonym terenie. Poza tym ostro kontrolują przy wyjściu. Sprawdzają wszelkie paczki, teczki, a nawet damskie torebki. Kiedyś można było wynieść pół zakładu, a portier nawet okiem nie mrugnął. Teraz przykręcili śrubę. Dziś nie odważyłabym się zrobić tych notatek, które przyniosłam ci przed tygodniem. Dobrze, że kierownik nic nie spostrzegł, kiedy odpisywałam notatki z jego dziennika. Na szczęście chodził wtedy zaaferowany, bo akurat miał żonę w szpitalu. Rozmawiał ze mną taki kapitan, przystojny facet, nawet dał mi numer telefonu, żeby zadzwonić, jeśli sobie coś przypomnę. Żeby nie to, że kocham tylko ciebie, to...

– Nie gadaj głupstw, tylko powiedz, czego od ciebie chciał? – przerwał jej ostro.

– Ach – przypomniała sobie. – Nie powiedziałam ci najważniejszego, ale wczoraj jeszcze nie wiedziałam. Otóż nie żyje pan Jaroń. Mówią, że został zamordowany. Pracował w D1. Znaleziono go w lesie w pobliżu domu.

– Ale, zaraz zamordowany – odezwał się Edmund ziewając. – Szedł pewnie po pijaku, poślizgnął się na deszczu, wyrznął głową o jakiś kamień albo w drzewo i po wszystkim. Kto miałby dziada mordować?

– To ty już o tym wiesz? O tych szczegółach? Przecież dziś nie byłeś w Iglinach – zdziwiła się.

– No... nie... – Edmund wyglądał na lekko zmieszanego. – Nie byłem, ale widziałem się w Warszawie z Pakułą.

– Z Pakułą? Jak mogłeś go widzieć, jeśli trzy dni temu wyjechał do Bydgoszczy?

– Co ty tam wiesz? – Przyjrzał się jej badawczo i uśmiechnął się. – Każdy chce żyć... Pojedzie pewnie dzisiaj. Wiem, że ma w domu remont, więc pewnie chciał dopilnować. Na pewno tak było – dodał szybko. – Przypominam sobie, że widziałem go na Puławskiej w pobliżu sklepu z farbami. Nie wspominaj mu o tym, bo po co chłopa peszyć.

– Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. Popatrz, a wszyscy mają go za solidnego pracownika. Ale tacy zawsze się dobrze maskują.

– A więc, co chciał ten kapitan? Co ty mogłaś mieć wspólnego z tym Jaroniem?

– Wiesz przecież, że czasem wpadam do D1, gdzie mam koleżankę. Nazywa się Nowicka. Od pokoju Jaronia dzieli jej pokój ogromne okno. Czasem jak piliśmy kawę, przychodził Jaroń po herbatę do śniadania. Pytali więc wszystkich, którzy się z nim stykali. To podobno



bardzo ważne, bo właśnie tam przygotowują tę nową technologię do tego ważnego surowca...

– Którego ty nie umiałaś zorganizować, ofiaro – rozżłościł się nagle.

– Przecież mówiłam ci już dawno, że nie mam do tego dostępu. Nie mogłam przy wszystkich grzebać w pracowni. Zgodziłeś się ze mną, a teraz wydzierasz się – podniosła głos Barbara.

Przez chwilę panowało milczenie. Edmund nad czymś rozmyślał. Wstał z tapczanu, podszedł do okna, potem przeciągnął się.

– Wiesz co? Może ja coś zjem. Ale najpierw wezmę kąpiel – zdecydował się nagle.

– Tak chciałabym mieć to wszystko poza sobą – odezwała się w zamyśleniu Barbara.

Edmund nie odpowiedział i po chwili z łazienki dobiegł plusk wody. Wstała i zajęła się ponownie kuchnią. Uporała się z tym dość szybko, a ponieważ Edmund ciągle nie wychodził z łazienki, postanowiła sięgnąć po książkę, by skrócić sobie czas oczekiwania. Idąc do regału odsunęła stojące na jej drodze krzesło, na którego oparciu wisały spodnie Edmunda. Przy tym ruchu z kieszeni spodni wypadł portfel. Schyliła się, by go podnieść i schować z powrotem na miejsce, gdy nagle, powodowana odruchem, otworzyła go. Z jednej z przegródek wystawał kawałek niebieskiego kartonu. Bilet lotniczy towarzystwa Air France. To, co tam przeczytała, napęliło ją takim oburzeniem i zdumieniem, że chciała

natychmiast biec do łazienki. Ogarnął ją jednak strach przed tym, co mógłby uczynić Edmund w takiej sytuacji. Gdy zjawił się po chwili w pokoju w płaszczu kąpielowym, zastał ją znowu spokojną i opanowaną. W milczeniu zjedli kolację, a gdy oznajmiła, że musi dziś wcześniej wracać do domu, nie protestował.

## 14.

Dębski wrócił z Iglin w nie najlepszym nastroju. Z niechęcią popatrzył na Laskowskiego i Maciejewskiego.

– Możecie mi wyjaśnić, dlaczego macie takie zadowolone miny? Trafiliście szóstkę w totka? Bo premii za tę sprawę chyba nie wypłacano?

– Zgadłeś. Nie wypłacano – westchnął Laskowski.  
– Ale mamy niezłe wiadomości.

– Oho, szef nie ma humoru – dorzucił Maciejewski.  
– Czyżby nowiny z Iglin nie były najlepsze?

– Żebyście wiedzieli, że nie. Przez trzy godziny usiłowałem coś wydobyć z Jaroniowej, ale efekty prawie żadne. Po prostu kobieta niewiele wie. Ustaliłem tylko dwie rzeczy. Po pierwsze dowiedziałem się, że Jaroń zbierał znaczki, wrogów nie miał i żadnych bliższych znajomości nie utrzymywali. Podała mi nazwiska kilku znajomych, trzeba będzie z nimi porozmawiać. Po drugie, Jaroniowa wspomniała, że tego wieczoru dzwonił do niej jakiś Kłak, czy coś w tym rodzaju. Rzekomo

był umówiony z Jaroniem w „Sosence”, to taka knajpka w lesie niedaleko ich domu, i nie mogąc się go doczekać zadzwonił, by spytać, czy coś się nie stało.

– Czy Jaroniowa wiedziała coś o tym spotkaniu?

– Nie. Podobno mąż nie informował jej nigdy, gdzie i z kim się umawia. Rzadko wychodził, a wtedy podawał tylko orientacyjną godzinę powrotu. Jaroniowa twierdzi, że tego dnia wyszedł z domu o osiemnastej trzydzieści. To by się zgadzało, bo do tej knajpki jest niedaleko. A ten cały Kłak dzwonił mniej więcej o dziewiętnastej trzydzieści. Musisz ustalić, Marian, co to za facet. Warto by było z nim porozmawiać. Może powie coś istotnego. A co wy macie?

– A właśnie. Zobacz, co przynieśli z Zakładu Kryminalistyki. Tu jest ekspertyza, a tu – Laskowski wyjął z przezroczystej koperty kawałek papieru – tu jest coś ciekawego. Popatrz. To jest znaczek, ale wycięty z jakiegoś czasopisma. Z protokołu oględzin wynika, że znaleziono to przy zwłokach.

– Czekaj, czekaj... – Dębski wpatrywał się w znaczek. – Przecież ja coś takiego widziałem w zbiorach Jaronia... Dobrze. Niech jeden z was podskoczy do związku filatelistów. Muszą tam mieć również jakieś dane o Jaroniu. Niech powiedzą też, co to za znaczek i w ogóle niech spróbują określić, o co tu może chodzić. Nie sądzę osobiście, żeby Jaroń nosił przy sobie ten bezwartościowy kawałek papieru tak zupełnie przypadkowo. Co w ekspertyzie?

– W Zakładzie Kryminalistyki zbadano próbkę gruntu i porównano ją z PCL-100. Okazało się, że w ziemi znajdowała się substancja o identycznym składzie chemicznym. Znalezione okruchy szkła są fragmentami laboratoryjnego naczynia ze szkła kwarcowego. Z tego niezbicie wynika, że Jaroń miał przy sobie to naczynie z PCL-100 i że zostało ono rozbite, być może w wyniku szarpaniny.

– Racja. – Dębski zamyślił się. – Musimy przyjąć, że Jaroń szedł na spotkanie z kimś, komu miał przekazać tę substancję. Nieznajomy morduje go, po czym zabiera pieniądze oraz dokumenty i ucieka. Tylko dlaczego rozbito naczynie? I poza tym ten Kłak... Czyżby Jaroń umówił się z dwoma ludźmi jednocześnie?

Odezwał się telefon.

Miejski, a więc nie szef – pomyślał Dębski, kierując się w stronę stolika z aparatami.

– Czy pan kapitan Dębski? – W słuchawce zabrzmiał głos kobiety. Potwierdził. – Tu mówi Barbara Nawrot z zakładów w Iglinach. Był pan przedwczoraj u nas.

– Tak, zgadza się – odpowiedział Dębski, włączając jednocześnie magnetofon.

– Chciałabym się z panem spotkać w pilnej sprawie. Jeśli to możliwe, raczej dyskretnie – w głosie kobiety można było wyczuć zdenerwowanie.

– Proszę bardzo. Skąd pani dzwoni?  
– Z automatu w okolicy domów Centrum.  
– W takim razie... – Dębski zastanawiał się przez chwilę. – Czy może pani być za pół godziny na Wilczej? W pobliżu Poznańskiej jest mała kawiarenka „Kleks”.

Przyszła do kawiarni wcześniej i siedziała nad filiżanką wystygłej już prawie kawy. Dębski poznał ją bez trudu. Spozregł też od razu, że Barbara raczej nie spała tej nocy. Świadczyły o tym głęboko podkrążone oczy.

– Panie kapitanie, widzi pan przed sobą naiwną i beznadziejnie głupią dziewczynę, która dała się wywieść w pole oszustowi. – W oczach Barbary pojawiły się łzy, które otarła wierzchem dłoni z jakąś niespodziewaną zawziętością.

Podeszła kelnerka. Dębski bez pytania Barbary zamówił dwa kieliszki koniaku.

– Przepraszam pana, postaram się zachować spokój.

Wiedział, że musi chwilowo zrezygnować z zadawania pytań i czekać cierpliwie na to, co ta dziewczyna ma mu do powiedzenia. Jeśli to ma być coś interesującego, to lepiej niech zacznie sama.

Tak też się stało.

– Od roku chodzę, jak to się mówi, z pewnym człowiekiem. Ostatnio mieliśmy nawet konkretne plany na temat naszego małżeństwa. Właściwie to ja sama mu to zaproponowałam, kiedy dostałam te pieniądze od

babci. Początkowo zamierzałam za nią kupić i urządzić mieszkanie, ale on wtedy powiedział, że za granicą przydadzą się nam dolary. Wziął je i wpłacił... I wszystko mu mówiłam o naszym zakładzie, a on teraz chce wyjechać sam. – Znow zaczęła płakać.

Wzmianka na temat zakładu w Iglinach zelektryzowała Dębskiego, ale wiedział, że musi wysłuchać wszystkiego po kolei. Trzeba się uzbroić w cierpliwość – pomyślał.

– Proszę się uspokoić. Może ja będę pani zadawał pytania? – zaproponował.

Barbara skinęła głową.

– A więc, kim jest i jak się nazywa pani narzeczony? Czy, jak to pani określiła, były narzeczony?

– Edmund Langner. Poznałam go przed rokiem. Przyjeżdżał często do naszego zakładu z różnymi delegacjami. Edmund pracuje w „Chemexie” w Warszawie. Zwrócił na mnie, uwagę, a ja głupia z miejsca się zakochałam. Początkowo było nam dobrze, nie mieliśmy też żadnych planów. Dopiero jak zmarła moja babcia, a ja dostałam pieniądze, zaczęliśmy mówić o małżeństwie...

– Jakie pieniądze?

– Ach, prawda, pan przecież tego nie wie. Babcia była modystką i właścicielką sklepu z kapeluszeniami i inną galanterią na Pańskiej. Tak się złożyło, że od lat gniewała się z moją matką i prawie ze sobą nie rozmawiały. Matka ciągle mówiła, że babcia jest skąpa, co chyba jednak nie było prawdą. Z całej rodziny babcia

najbardziej kochała mnie. Często ją odwiedzałam, zupełnie bezinteresownie. Na dwa albo trzy tygodnie przed śmiercią, kiedy babcia była już, słaba, dała mi w tajemnicy dolary i trochę różnej biżuterii. Nalegała, bym nikomu o tym nie mówiła. Zastrzegła sobie, abym te pieniądze wydała na dom i rodzinę, kiedy już ją będę miała.

– I wtedy zaproponowała pani Langnerowi małżeństwo?

– Tak, ale on miał inne plany. Powiedział...

– Przepraszam, jaka to była kwota?

– Około dwóch tysięcy dolarów. Więc on powiedział, że urządzenie się w kraju nie ma większego sensu, że do niczego tu nie dojdziemy, że musimy wyjechać na zachód, gdyż tylko tam można dobrze żyć. Mówił też, że on ma za granicą jakieś oszczędności w banku...

– I dała mu pani pieniądze, a on wywiózł je za granicę?

– Tak. Skąd pan wie? – zdziwiła się Barbara.

– Nietrudno się domyślić – uśmiechnął się Dębski.

– Proszę dalej.

– Te dwa tysiące i jeszcze pięćset, bo sprzedaliśmy również biżuterię z wyjątkiem łańcuszka i dwóch pierścionków, gdyż były to pamiątki rodzinne, wywiózł Edmund za granicę. Był kiedyś służbowo w Rzymie i tam założył sobie konto.

– Na swoje nazwisko?

– Oczywiście, Wtedy wierzyłam mu.

- Pani rodzice nie wiedzieli o tych pieniądzach?
- Skądże. Ponieważ babcia nie życzyła sobie tego, nikomu nawet nie wspomniałam. Poza tym, kiedy poznałam Edmunda, rzuciłam takiego Staszka. To syn kolegi ojca, lekarz. Bardzo mu na mnie zależało, ale zakochałam się w Edmundzie i robiłam wszystko, czego on sobie życzył. W domu zaczęły się awantury. Mama po śmierci babci dziwiła się wprawdzie, że nie zostawiła większej gotówki, tylko sam sklep i kilkanaście tysięcy złotych, ale ja do niczego się nie przyznałam.
- I jakie były wasze dalsze plany?
- Edmund był rozgoryczony, że nie chcą mu dać przedstawicielstwa za granicą i postanowił, że wyjedziemy na wycieczkę na zachód, obojętnie do jakiego kraju, i tam zostaniemy.
- Czy pan Langner często wyjeżdżał za granicę?
- Dwa, trzy razy w roku. To go też złościło, bo inni wyjeżdżali częściej.
- Kiedy miał nastąpić wasz wyjazd?
- Nie ustaliliśmy dokładnie terminu. Mówił, że ma tu jeszcze pewne interesy do zlikwidowania. Miał sprzedać samochód i inne rzeczy oraz spodziewał się jakiejś większej gotówki.
- Wspomniała pani, że mówiła Edmundowi o swoim zakładzie...
- Tak. Edmund ostatnio interesował się moją pracą, szczególnie pewnymi nowościami. Zajmuje się tym



wydział, w którym pracuję. U nas odbywa się próbna produkcja z nowych surowców. Mówił, że pomaga mu to w pracy, gdyż w ten sposób jest rzekomo lepiej zorientowany niż jego koledzy. Kiedy zaczęliśmy pracować nad tym nowym tworzywem, wie pan, tym PCL-100, to kazał mi robić odpisy z notatek szefa. Czasem mi się to udawało bez zwrócenia uwagi. Edmund spodziewał się sprzedać te informacje za granicą.

– Czy pani wie, co pani robiła? I czym to grozi? Czy pani nie zdawała sobie sprawy, że to jest przestępstwo?

– Wtedy nie. Wiem, że za granicą różne koncerny wykradają sobie tajemnice produkcji i zarabiają na tym. Traktowałam to więc jako rzecz nieszkodliwą, trochę, wie pan, jako rzecz w stylu detektywistycznym.

– Niestychane! Czy pani nie podpisywała dokumentów i przepisów o dochowaniu tajemnicy służbowej i państwowej!?

– Prawdopodobnie były takie przepisy. W pracy wieszcznie się coś podpisuje, a potem często się zapomina.

– No dobrze. Wróćmy do tego później. Więc teraz stwierdziła pani, że pan Langner zamierza wyjechać sam? I zdradzić współpracownika. Przepraszam za sformułowanie – dodał, widząc, że się zachnęła – ale tak to wygląda.

– Kiedy zobaczyłam wczoraj u niego bilet wykupiony do Paryża, o czym nie wspominał mi ani słowem,

stało się dla mnie jasne, że jest to ucieczka. On teraz będzie się tam bawił za moje pieniądze... Powiedziałam sobie, że odpowiem za swoje czyny, ale ten łobuz też musi być ukarany. A nabierało mu się. Skoro zaczęłam mówić, powiem wszystko, do końca. Niczego nie będę ukrywać. Wiem, że ostatnio miał jakieś konszachty z jednym cudzoziemcem, któremu się podlizuje i coś mu załatwia. Kto wie, czy to nie od niego spodziewał się pieniędzy, bo wspomniał, że Kellermann to zamożny człowiek. Poza tym skąd wie, że Jaroń się poślizgnął i upadł na kamień? Może to on sam go pchnął?

Dębskiego poruszyło:

- Czy Langner znał Jaronia?
- Tego na pewno nie wiem, bo o tym nigdy mi nie mówił. Ale znał wiele osób z zakładu. Wczoraj, kiedy opowiadałam mu, że Jaroń został zamordowany w lesie, to przerwał mi i wyraził przypuszczenie, że może pośliznął się na deszczu i upadł na kamień. Kiedy zapytałam go, skąd o tym wie, odpowiedział, że rozmawiał z kimś z zakładu. Po pierwsze wiem, że w nocy, kiedy zamordowano Jaronia, rzeczywiście padał deszcz, ale w tym czasie w Warszawie była pogoda. Po drugie skłamał, mówiąc, że rozmawiał z Pakułą z naszego zakładu. Od razu mi to podpadło, bo Pakuła wyjechał do Bydgoszczy. Zresztą dziś rano rozmawiałam z nim. Zaprzeczył, jakoby ostatnio widział Edmunda. To chyba coś znaczy, prawda? Kiedy to wszystko sobie przemyślałam, doszłam do wniosku, że Edmund musi być w to zamieszany.

– Niech mi pani powie, czy Langner zbiera znaczki?

– Znaczki? Pierwsze słyszę. Nic o tym nie wiem. Gdyby tak było, musiałabym wiedzieć.

– Wspomniała pani nazwisko, Kellermann. Kto to taki i dlaczego Langnerowi tak bardzo na nim zależy?

– Ten Kellermann to całkiem miły i porządny facet. Podobno przed kilkoma miesiącami przyjechał do Polski i założył tu jakieś biuro handlowe. Interesują go sprawy związane z przemysłem chemicznym. Mieszka w „Forum”. Edmund kręci się koło niego i chyba usiłuje spełniać rolę doradcy. Widziałam go dwa razy na jakichś przyjęciach. Edmund mu bardzo nadskakuje. Mówił zawsze, że to dobra i opłacalna znajomość. Moim zdaniem Kellermann traktuje go grzecznie, ale trochę z góry. Daje mu różne zlecenia, dotyczące jego przedstawicielstwa. Nie wiem, czy mu za to płaci. Edmund kazał mi nie mówić o Kellermannie przy innych osobach.

Dębski zamyślił się.

– Jeszcze jedno, pani Barbaro. Na kiedy Langner ma wykupiony bilet do Paryża?

– Na ósmego października, czyli za dwa dni.

– Pani Barbaro – westchnął Dębski. – Nie lubię prawić ludziom dorosłym morałów, ale nie da się ukryć, że wykorzystano pani dobrą wolę, naiwność i uczucie. Okazało się, że to kosztuje. Zawsze zresztą kosztuje.

Raz drożej, raz taniej. W pani przypadku jest jeszcze pora... Nie zabieram głosu na temat pobudek, ale w porę przerwała pani działalność, za którą odpowiada się przed sądem. Proszę mi wierzyć, że gdyby Langner pani nie zdradził, to w tym akurat przypadku istniała znikoma szansa na zrealizowanie waszego planu. Nie muszę chyba wspominać, że ta rozmowa powinna pozostać naszą tajemnicą. Leży to przede wszystkim w pani interesie. I jeszcze jedna ważna sprawa: czy Langner mógł się zorientować, że pani zobaczyła ten bilet?

Barbara zastanawiała się przez chwilę.

– Nie sędzę. Edmund od kilku dni jest zaabsorbowany swoimi sprawami, a ponieważ przyzwyczał się, że jego dziewczyna niewiele rozumie i jest zakochana...

– To dobrze – Dębski podniósł się z krzesła. – Nie jest to nasza ostatnia rozmowa, proszę pani. Na razie dziękuję i do zobaczenia. I jeszcze jedno proszę się nie bać. My będziemy nad pani bezpieczeństwem czuwać.

## 15.

Barman napełnił kieliszki.

– Miło się z panem rozmawia, teraz ja stawiam.

– O, nie – zaprotestował Laskowski. – To, ja mam przecież do pana sprawę.

Barman pokiwał głową z grymasem politowania.

– Jaka to sprawa... O mieszkańcach tego hotelu i bywalcach baru mógłbym opowiadać panu przez całą noc. Tacy sami ludzie jak inni. Są i porządni, poważni, są oszuści, hochsztaplerzy, cwaniacy. Jak bym panu wszystko o nich opowiedział, mógłby pan napisać nie tylko reportaż, ale nawet grubą książkę. A kolejka jest moja. Trzeba z prasą żyć w zgodzie – mrugnął okiem. – Sam pan wie, że byle jaki dziennikarzyna może człowiekowi popsuć reputację. Przepraszam, ale nie pana miałem na myśli. – Napełnił kieliszki i mówił dalej: – Ja sam w wolne dni lubię sobie poczytać „Kulturę”, „Politykę”, raz nawet kupiłem „Miesięcznik Literacki”.

– Tak... – westchnął Laskowski. Wolałby skierować rozmowę na interesujący go temat, ale musiał wysłuchać wynurzeń rozmówcy.

– Bo wie pan, że nawet dobremu dziennikarzowi nie zawsze wyjdzie artykuł, tak jak kucharzowi nie zawsze uda się zupa – zaczął znowu barman.

– Trafne porównanie – uśmiechnął się Laskowski.

– A może opowiedzieć panu, jak urządził się tu jeden makaroniarz. Kupował w Polsce konie na rzeź. Interes szedł dobrze, forsy miał jak lodu, to sobie używał. Młody, przystojny, z wąsikami. A jak baby na niego leciały! Że on ducha nie wyzionął, to się dziwię. Musiałem mu przyrządzać wzmacniające koktajle. Twardy chłop. Panie Staszku, mówił kiedyś do mnie,

muszę się zabawić na fest. I wie pan, co wymyślił? Dał ogłoszenie w prasie, że poszukuje sekretarki w wieku dwudziestu lat z dobrą prezencją i tak dalej, jak to w ogłoszeniach. Aż do końca pobytu egzaminował zgłaszające się panienki. Schudł biedaczysko zupełnie. Roboty miał bowiem dużo, bo domyśla się pan, ile musiało nadejść ofert...

– Nie wszystkie były chyba takie naiwne – zauważył Laskowski.

– Sam makaroniarz to uczciwie przyznał. Nawet żałował, że nie potrzebuje naprawdę sekretarki. Tak to bywa w życiu...

– Wie pan co? Mieszka tu w hotelu jeden Belg czy też Austriak. Spotkałem się z nim na przyjęciu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Nazywa się chyba Kellermann...

– Zgadza się. Pan Robert. Znam go dobrze. Ten to umie się znaleźć. Widać, że ma gotówkę, ale nie zachowuje się jak dorobkiewicz, który rzuca forszą na prawo i lewo. Wypije nieraz sobie, ale się nie zalewa. Przychodzi do niego czasem jedna babka, podobno plastyczka. Mają się pobrać.

– Mówił to panu?

– Nie, opowiadała mi kelnerka, której ciotka prowadzi dom tej pannie i jej bratu. Brat to jakiś naukowiec.

– Nie wie pan, jak się nazywa?

– Zaraz, zaraz... Wiedziałem... Tak jakoś na „cki”

...Ale czekaj pan. Zaraz się dowiemy. Zosia! – zawołał do przechodzącej kelnerki, a gdy ta podeszła, spytał: – Komu, twoja ciotka prowadzi dom?

– A na co to potrzebne? – spojrzała podejrzliwie w stronę Laskowskiego.

– Kwiatki chciałem jej posłać – roześmiał się pan Staszek, ale zaraz spoważniał. – To mój przyjaciel, dziennikarz, tak sobie gadamy o tym i owym. Mówiłem właśnie o panu Robercie.

– A, to co innego.. Ciocia pracuje u pana inżyniera Zagórskiego. Na Żoliborzu. Kiedyś tam byłam, ale adresu nie pamiętam. Jeśli panu redaktorowi zależy, to mogę się cici spytać – rzuciła zalotne spojrzenie w kierunku Laskowskiego.

– Ach, nie – odparł spiesznie. – Po prostu tak sobie rozmawialiśmy ze Staszkiem...

– Wpadł pan w oko naszej Zosi – uśmiechnął się filuternie barman. – Przepraszam pana za słowo „przyjaciel”, ale musiałem to jakoś zakamuflować.

Rano Dębcki nie poszedł do biura. Pojechał do Iglin, chciał bowiem sprawdzić pewną koncepcję, na którą wpadł poprzedniego dnia wieczorem. Problem ten długo nie pozwalał mu zasnąć. Zaczęło się od analizy rozmowy z Barbarą Nawrot. Nie dawał mu spokoju fakt, że dokonano tak prymitywnej kradzieży i równie prymitywnego zabójstwa. Co się może za tym kryć?

Docent Zawidzki przyjął go natychmiast. Był jeszcze ciągle pod wrażeniem śmierci Jaronia.

– Panie kapitanie, czy coś już wiecie na temat, tej tragedii?

Dębski uśmiechnął się:

– Widzi pan, to nie taka prosta sprawa. Pracujemy nad tym. Obawiam się, że zabójstwo Jaronia może być tylko fragmentem czyjegoś działania. Właśnie ta obawa sprowadziła mnie tutaj.

– Proszę, czym mogę panu służyć?

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym przejrzeć rejestr tajnych dokumentów, które się znajdują w zakładzie.

– Ależ proszę – Zawidzki podszedł do kasy. – Jak pan widzi, przechowuję ten spis w bezpiecznym miejscu – wyjął oprawiony w czarne okładki zeszyt.

Dębski zaczął czytać.

– Tak, widzę, że wszystko jest w porządku... Rozdzielnik egzemplarzy, pokwitowania... A to co? – wskazał palcem kolejną pozycję. – Dwa egzemplarze tej dokumentacji są u pana, a trzeci? Czyj to podpis?

– Ach, to? Inżynier Zagórski pobrał jeden egzemplarz. Ma go u siebie, bo opracowuje jeszcze pewne problemy. Jeśli pan każe, to polecę mu to zwrócić.

– Nie, nie. Nie ma takiej potrzeby. Proszę tylko pana o zachowanie naszej rozmowy w tajemnicy.



W biurze czekali już na Dębskiego podwładni. Po ich twarzach poznał bez trudu, że mają do zakomunikowania ważne wiadomości.

Pierwszy zaczął referować porucznik Laskowski.

– Odwiedziłem związek filatelistyczny, byłem na giełdzie, rozmawiałem z paroma większymi zbieraczami. Ta reprodukcja dotyczy znaczka wchodzącego w skład serii z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. W Warszawie są prawdopodobnie tylko dwaj kolekcjonerzy, którzy mają te znaczki. Jeden z nich, to adwokat Rybicki. Złożyłem mu wizytę. Opowiedział mi, że tymi znaczkami interesował się ostatnio jakiś młody człowiek, pracujący w handlu zagranicznym. Chciał nabyć tę serię. Naturalnie ustaliłem go. Rzeczywiście pracuje w handlu, konkretnie w „Chemexie”, ma na imię Edmund, nazywa się...

– Langner – odpowiedział Dębski, uśmiechając się na widok zdziwionej miny Laskowskiego. – Napracowałeś się, a ja miałem tylko szczęście. Zgłosiła się dziewczyna tego Langnera i opowiedziała mi sporo o tym człowieku. Tak dużo i tyle niezwykłych rzeczy, że trudno uwierzyć. Jednak, jakkolwiek by było, należy wszystko sprawdzić. Od tej chwili musimy go traktować jako podejrzanego numer jeden. Prawdopodobnie zrobimy z niego niebawem niezły prezent prokuratorowi. Mam w związku z tym pewne plany, które przedłożymy szefowi. Z Langnera nie wolno od tej chwili spuszczać oka.

– To ja dodam już tylko dla formalności – włączył się Maciejewski – że Edmund Kłak, który miał się spotkać z Jaroniem, i Edmund Langner to ta sama osoba. Osiem lat temu zmienił nazwisko. Langner to nazwisko panińskie jego matki. Najprawdopodobniej o zmianie nie poinformował Jaronia, który, jak zresztą i jego żona, poznał go znacznie wcześniej. Kłak uznał prawdopodobnie, że praca w handlu zagranicznym wymaga nazwiska bardziej reprezentacyjnego.

W tej chwili zadzwonił telefon. Zgłaszał się wywiadowca.

– Co masz? – zapytał Dębski.

– Przed domem inżyniera stoi wóz »Alberta« i jakiś drugi. Numer zapisałem. Chyba wybierają się na weekend, bo ładują jedzenie i sprzęt campingowy. Zabierają nawet psa. Rano gospodyni wyszła z walizką na dworzec i kupiła bilet do Zalesia.

– W porządku. Działajcie zgodnie z ustaleniem. Niestety – westchnął i spojrzał na oficerów – popracujemy dziś dłużej...

## 16.

Nie należał do ludzi przesądnych, ale tym razem zawahał się, gdy zobaczył, że taksówka stojąca jako pierwsza przed Dworcem Wileńskim ma numer trzynastycie. Już miał otworzyć drzwiczki wozu, lecz w

ostatniej chwili nie uczynił tego. Mam jeszcze sporo czasu, ostatecznie mogę pojechać za kilka minut – pomyślał. Wszedł do poczekalni dworcowej, chwilę postać przed rozkładem jazdy, wreszcie kupił w kiosku gazetę i papierosy, i wyszedł znowu z budynku w stronę postoj.

– Aleja Wojska Polskiego. Kawiarnia „Kasztelańska” – rzucił kierowcy.

Dochodziła godzina dwudziesta, zapadł już zmrok, ale ruch był wciąż duży. Z trudem poruszali się po zapelnionej pojeżdżami jezdni.

– Popatrz pan – odezwał się kierowca, zerkając we wsteczne lusterko. – Skąd ci ludzie mają pieniądze? Kupują tyle wozów. Czuję, że za kilka lat ten, kto będzie się spieszył, będzie musiał ganiać na piechotę. Czy rząd nie powinien się nad tym zastanowić? Inaczej to będzie tak jak w Tokio czy Paryżu. Czytałem, co się tam wyrabia.

– Mhm. – Mruknięcie z tylnego siedzenia mogło oznaczać zgodę z takim poglądem, nie zachęcało jednak do dalszej rozmowy.

Wjeżdżali w okolice Żoliborza. Po chwili podał kierowcy pięćdziesięciozłotowy banknot i cierpliwie czekał na wydanie reszty. Wszedł do hallu kawiarni, wrzucił monetę do automatu telefonicznego, ale aparat okazał się zepsuty. Przez moment zastanowił się, co robić dalej. Wyszedł z kawiarni spojrzął w lewo, potem w prawo, wreszcie zdecydowanym krokiem ruszył chodnikiem.

Po kilkudziesięciu krokach skręcił w wąską uliczkę.

Przeglądu terenu dokonał już przed południem poprzedniego dnia, przejeżdżając tamtędy samochodem, potem przeszedł się jeszcze raz pieszo, by zapoznać się z nocnym wyglądem okolicy. Teraz trafiłby nawet z zawiązanymi oczami. Obejrzał się jeszcze raz, po czym zręcznym ruchem, zdradzającym sportowe przygotowanie, przesadził bez trudu niewysoki żywopłot oddzielający od ulicy ogród willi.

Przez chwilę stał nieruchomo i nasłuchiwał. Wszędzie panowała niczym nie zmałona cisza. Odliczył trzecie okno od narożnika budynku i ruszył w tamtą stronę starając się stąpać po trawie. Nagle na ulicy zapiszczały hamulce ostro zatrzymującego się samochodu. Błyskawicznie przykucnął za jakimś krzakiem i spojrzął w kierunku furtki. Z samochodu wysiadła kobieta i podeszła do ogrodzenia. Zamiast jednak spodziewanego zgrzytu klucza w zamku usłyszał głośnie kołatanie klamką. Odetchnął z ulgą. Za moment rozległ się ponownie warkot silnika i samochód równie gwałtownie odjechał.

Mężczyzna wyprostował się i poszedł w stronę wybranego okna. Było ciemne, podobnie jak wszystkie inne. Bez trudu wspiął się na parapet i przytrzymując się jedną ręką futryny drugą lekko pchnął szybę lufcika. Otwarcie całego okna było już drobnostką. Zanim wszedł do wnętrza, odchylił firankę i oświetlił pomieszczenie małą latarką. Wygląd pokoju zgadzał się z jego

opisem. Drzwi naprzeciw okna prowadzą do gabinetu – przypomniał sobie. Dwa duże okna gabinetu „wychodziły na ulicę, zasłony nie były zaciągnięte. Zbliżył się do jednego z nich i przez chwilę patrzył na ulicę. W słabym świetle oddalonych latami mógł obserwować kilkunastometrowy odcinek. Żadnego ruchu. Namacał sznur i pociągnął. Obie połowy zasłon zeszyły się z cichym szmerem. Tak samo postąpił przy sąsiednim oknie. Znowu użył latarki. Dotarł do biurka, zapalił stojącą na nim lampę. Sześćdziesiątka – pomyślał. Trochę słaba. Podszedł do regału. Z górnej kieszeni wiatrówki wydobyl mały klucz. Przycisnął palcem środek rzeźbionego w drewnie kwiatu, po czym pokryta ornamentami płyta w regale odchyliła się. Ukazały się pod nią stalowe drzwiczki sejf. Otworzył zamek. Klucz pasował idealnie. Znowu musiał sobie poświecić latarką, gdyż blask lampy nie sięgał w głąb ciemnego wnętrza. Na górnej półce leżały przewiązane tasiemką listy, obok trochę banknotów, jakaś biżuteria. Nie zainteresowało go to. Światło latarki przesunęło się niżej. Na dole leżał tylko Jeden przedmiot: dość gruba teczka z czerwonej, ładnie wyprawionej skóry, zamykana na zwykły zatrzask. Przeniósł ją na biurko i przechylił elastyczne ramię lampy. Otworzył teczkę, wyjął plik papierów i położył je na brzegu biurka. Pierwszą kartkę ułożył starannie w kręgu światła lampy. Z drugiej kieszeni wiatrówki wyjął małą „minoltę” i przyczepionym do niej łańcuszkiem sprawdził odległość. Każdą kartkę

fotografował dwa razy. Pracował ze spokojem, szybko, sprawnie i dokładnie. Zmienił kasetę w aparacie. Jeszcze kilkanaście zdjęć i wszystkie papiery znalazły się po lewej stronie biurka. Spojrzał na zegarek: dochodziła dziesiąta. Schował papiery do teczki i ulokował ją na półce sejf. Jeszcze poprawił nieco jej ułożenie. Sięgnął ręką do drzwiczek, gdy nagle w gabinecie zabłyśło światło żyrandola.

– Ręce do góry! Nie odwracać się! – usłyszał za sobą stanowczy głos.

Zastosował się do polecenia.

Przez moment panowało milczenie. Dwaj przybysze patrzyli na niefortunnego włamywacza. Ten ochłonąwszy nieco z przerażenia i zorientowawszy się widocznie, że życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo, odzyskał mowę.

– Panowie, coś tu nie gra... – stwierdził ze zdumieniem.

– Nie martw się, wszystko jest w porządku – człowiek z pistoletem dał znak swemu towarzyszowi, który wprawnymi ruchami obmacał ubranie włamywacza.

– Nic nie ma.

– To dobrze. Zamknij schowek, zabierz kluczyk i aparat. Wychodzimy. Tą samą drogą, którą wszedłeś. Tylko bez kawałów, bo ktoś w ogródku mógłby przez pomyłkę wystrzelić. Jasne?

– Tak jest – włamywacz omal nie stuknął obcasami.

Będąc już w ogrodzie, wzdrygnął się na widok kilku nieruchomo stojących postaci. Dwa sportowe wozy podjechały niemal bezgłośnie pod bramę. To nie milicja – pomyślał i poczuł, że się poci. Bez sprzeciwu wsiadł do samochodu. Miejsce obok kierowcy zajął mężczyzna wydający w willi rozkazy. Nim ruszyli, wyjął spod deski rozdzielczej mikrofon.

– Pierwszy do wszystkich. Koniec akcji. Odbiór.

W odpowiedzi zameldowały się kolejne numery i potwierdziły odebrane polecenie.

Wprowadzono go do niewielkiego pokoju. Na środku stałe biurko, pod ścianą stolik z maszyną do pisania, przy której siedział człowiek w wojskowym mundurze z naszywkami sierżanta. Na widok wchodzących wstał.

– Obywatelu kapitanie...

– Jesteście gotowi? To dobrze. – Mężczyzna nazwany kapitanem zajął miejsce za biurkiem, wskazując zatrzymanemu krzesło naprzeciwko.

– Dokumenty proszę.

– Nie mam.

– Żadnych? – zdziwił się kapitan. – Wypróżnijcie kieszenie.

– Proszę pana, nikt rozsądny nie idzie na robotę z dokumentami. W razie zguby, wpadka murowana. Pan wie.

– Żaden rozsądny człowiek nie pójdzie przede wszystkim na taką robotę. Ale do rzeczy. Nazwisko?

– Strzelczyk. Czesław Strzelczyk. – Podoficer przy maszynie zaczął protokołować. Data urodzenia, adres, stan cywilny.

– Zawód?

– Mechanik samochodowy. Mam warsztat na Brzeskiej.

– Kto wam nadał tę robotą?

– Nie znam tego człowieka.

– To znaczy jakiś nieznajomy podszedł do was na ulicy i zaproponował włamanie?

– No nie, nie na ulicy. Do baru na Brzeskiej przyszedł kiedyś taki jeden i powiedział, że ma dobrą robotą. Za dziesięć tysięcy złotych. Zgodziłem się. Dał dwa tysiące od razu. Wyjął aparat fotograficzny i pokazał, jak się z nim obchodzić.

– A kiedy i gdzie miał odebrać tę waszą robotę?

– Kazał mi przychodzić do baru po południu. Tam miał przyjść po odbiór i wypłacić resztę.

– Nie znaliście człowieka i zgodziliście się?

– Skusiłem się na te pieniądze. Niewiele człowiek zarabia...

– To znaczy, żeby spotkać tego mężczyznę należy codziennie chodzić do baru na Brzeskiej?

– Na to wygląda – odparł z wyraźną ulgą, że oto sprawa się wyjaśniła.

– Dość tej komedii! – krzyknął nagle kapitan, aż Strzelczyk skurczył się przerażony na krześle. – Uważacie nas za głupców?

– Wcale tak nie uważam.



– To mówcie, do diabła, prawdę. Nawet nie wiecie, w jaką kabałę się wpakowaliście – dodał spokojnie..

– To ja już wszystko powiem. Nic nie będę ukrywał. Widzę, że wplątałem się w grubszą historię. Nie, jestem taki głupi, żeby nie wiedzieć. Czy władze wezmą to pod uwagę?

– Na razie mówcie. Trzeba było o tym wcześniej pomyśleć. Słucham.

– To było tak: w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku wyjechałem za granicę. Miałem zamiar otworzyć warsztat, tu w Polsce, oczywiście. Myślałem, zarobię trochę forsy, przywiozę do kraju i urządzę się. No i urządziłem się, cholera.

– U kogo byliście?

– Mam kuzyna w RFN, który pracuje w zarządzie miejskim. Bogacz to on nie jest, ale wystarał mi się o pracę w moim zawodzie. W dużej firmie samochodowej. Pracowałem tam, aż kiedyś do domu kuzyna przyszedł jakiś facet i powiedział, że jest z takiego urzędu, co przeprowadza ankiety. Wie pan, na temat, jak się pracuje w tym kraju cudzoziemcom, wiek, zawód, zarobki w Polsce. Powiedziałem mu wtedy, że robota jak robota, zarobki tylko nie takie wielkie. Powiedziałem mu, że w Polsce też bym swoje zarobił w moim fachu, a nie natyrałbym się tak jak u nich. To on się roześmiał i powiedział, że może się dać coś zrobić, żeby miał więcej płacone. Wypełnił tę ankietę, zapytał o nazwę firmy

i dał mi kilkadziesiąt marek „za stracony dla niego czas”, tak powiedział. Ja jemu na to, że tak to ja mogę tracić czas codziennie. Za jakiś tydzień przyszedł znowu i oświadczył, że miałem rację, i że załatwił mi pracę w innej firmie. Tam dostanę o połowę więcej. Powiedział, że to dlatego, żebym w Polsce nie opowiadał znajomym, że źle zarabiałem. Chciał też uzupełnić swoją ankietę, więc zadał mi jeszcze dodatkowe pytania. Ja byłem tak ucieszony tymi większymi zarobkami, że odpowiadałem na wszystkie.

– Jakie to były pytania?

– Różne. Tym razem pytał z życiorysu. Skąd pochodzę, jakie mam mieszkanie, czy jestem po wojsku, czy lubię się dobrze ubrać. Powiedziałem więc, że służyłem jako mechanik kierowca w wojskach pancernych. Pytał również, ilu miałem kolegów w plutonie, czy służba odpowiadała mi psychicznie, i takie inne, za przeproszeniem pana, duperele. Na zakończenie dał mi sto marek i prosił o pokwitowanie, bo on z każdej ankiety musi się rozliczyć. To jasne, pomyślałem, u nas też bez papierka nic nie ma i podpisałem. No to on mówi, że jakby co, to on się jeszcze pokaże, żeby zobaczyć, jak mi idzie. Pokazali się we dwóch za trzy dni. Teraz już pytali tylko o wojsko. Ja się wtedy kapnąłem, że te ankiety to jakieś szpiegostwo i powiedziałem, że nic więcej nie wiem. Wtedy oni powiedzieli, żebym nie udawał, bo już dużo powiedziałem przedtem i że nawet mi za to zapłacili, co sam pokwitowałem. Teraz to już

nie przelewki, pomyślałem sobie, ho i zacząłem im zmyślać różne rzeczy, chwalić się, co my mamy za wyposażenie, ale wszystko tak, żeby się trochę trzymało kupy. Oni to sobie wszystko notowali i powiedzieli, że sprawdzą. Te wszystkie rozmowy miałem zachować w tajemnicy. Zgodziłem się, bo zagrozili, że w razie czego dadzą znać polskiemu bezpieczeństwu.

– Już się więcej z nimi nie widzieliście?

– Bezpośrednio przed moim wyjazdem do Polski przyszedł jeszcze ten pierwszy. Poinformował mnie, że mi nic w Polsce nie grozi, mam siedzieć cicho, a jak kiedyś będą mnie jeszcze potrzebowali, to przyjdzie do mnie ich człowiek i powie hasło, a ja mam wtedy zrobić, co mi każe. No i przyjechałem do Polski, znalazłem współnika i razem żeśmy ten warsztat założyli. Z początku na każdego klienta patrzyłem jakoś tak badawczo, aż mnie jeden kiedyś obsztorcował. Przez sześć i pół roku nic się nie działo, aż w końcu dwa dni temu zgłosił się taki jeden...

– Dlaczego o tym wszystkim nie poinformowaliście władz po powrocie?

– Bałem się, panie kapitanie, że pójdę siedzieć. Liczyłem, że się nikt nie zgłosi i że im zależało tylko na tym, żebym siedział cicho...

– Jakie hasło wam podali?

– Ich wysłannik miał przyjść do warsztatu i zapytać, czy mam prawy reflektor do volvo. Moja odpowiedź miała być, że nie mam, ale się mogę postarać.

– Jak wyglądał ten człowiek, który się do was zgłosił?

– Wysoki, szczupły, szatyn, czesany z przedziałkiem, ubrany elegancko, jak to zagranicznik.

– To nie był Polak?

– Kto go tam wie? Mówił po polsku, ale dało się poznać, że ma jakiś dziwny akcent. Z miejsca przystąpił do rzeczy. Mojego współnika wtedy nie było, miałem już zamykać interes. Weszliśmy do kantorka, on wyjął papier ze szkicem jakiegoś mieszkania, kazał mi go dobrze zapamiętać. Pokazał, gdzie jest ten mebel, i objaśnił, jak go otworzyć. Dał mi mały kluczyk. W domu na parterze miał być niedomknięty lufcik. Mieszkańców miało nie być, tak że bezpieczeństwo pracy murowane. Papier ze szkicem spalił. Dał mi pięć tysięcy złotych, aparat fotograficzny i dwie kasety. Nauczył mnie, jak się obchodzić z aparatem. Aparat miałem zatrzymać sobie, a kasety z filmami zostawić w poniedziałek w umówionym miejscu...

## 17.

Edmund wstał tego dnia bardzo wcześnie. Właściwie trudno było powiedzieć, że wstał, bo większość nocy spędził w fotelu, usiłując czytać książkę. Nerwy – pomyślał. Żeby tylko wytrzymać ten dzień. Nie mogę się załamać, wszystko jest w porządku. Jak to dobrze, że

Barbara zachorowała i tu nie przychodzi – myślał z zadowoleniem. Głupia dziewczucha. Nie muszę jej zresztą żałować. Krzywda jej się nie stanie. Pozłóści się, ale nikomu się pewnie nie przyzna. Będzie jej wstyd, że była taka naiwna. Znajdzie szybko jakiegoś inżynierka i zemści się na mnie, wychodząc za męża. Będzie miała dom, dzieci, kochającego męża. To jej powinno wystarczyć. Spojrzał na zegarek. Była szósta. Poszedł do łazienki i wziął prysznic. Walizkę miał już spakowaną. Jeszcze raz zajrzał do schowka. Wszystko było na miejscu. Właściwie to mógłbym przewieźć paczkę w kieszeni ubrania. Nigdy mnie nie rewidowano. Przezorność jednak nie zaszkodzi – skonstatował. Co ja mam robić w pracy? Aha... Przede wszystkim wziąć zaliczkę na jutrzejszy wyjazd do Krakowa z hiszpańskimi handlowcami. Zobaczą mnie w tym Krakowie! Pięć tysięcy złotych na kolację. Co ja bym zamówił za te grosze? Ale, ale – zastanowił się. Na co wydram te pieniądze? Wyskoczę do miasta, może kupię jakiś wartościowy drobiazg. Szkoda, że nie mogę sprzedać tych gratów... Rozejrzał się po mieszkaniu.

Dochodziła siódma, gdy zaczął się ubierać. Czasu miał jeszcze sporo, lecz nie mógł wytrzymać dłużej w mieszkaniu. Wstąpię do baru i napiję się mleka – postanowił.

Skończył się właśnie ubierać, gdy rozległ się dzwonek. Kto to może być? – pomyślał idąc w kierunku

drzwi. Aha, przypomniał sobie, nie oddałem wczoraj dozorczy klucza do piwnicy.

Otworzył drzwi i ujrzał na korytarzu dwóch mężczyzn. Jeden z nich bezceremonialnie odsunął go i już wchodzili do mieszkania.

– Co to ma znaczyć, panowie? – oburzył się Edmund, cofając się przed nimi.

Jeden z nich wyjął legitymację.

– Jesteśmy z kontrwywiadu. Kapitan Dębski. – Nazwiska drugiego mężczyzny nie wymienił. – Pan Langner?

– Tak – odparł Edmund.

Poczuł, że robi mu się słabo, ale na szczęście jego głos zabrzmiał naturalnie.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem na temat Kellermanna. Nie jest panu obce to nazwisko?

– Oczywiście, że nie. Proszę, siadajcie panowie. – Edmund odzyskał już częściowo spokój. – Może kawy? – zaproponował.

– Już piliśmy – mężczyzna, który wszedł pierwszy, rozejrzał się po pokoju. – Co pan może powiedzieć na temat Kellermanna?

Edmund chwilę zastanawiał się.

– Właściwie to spotkałem się z nim kilka razy w sprawach służbowych i trudno mi powiedzieć coś bliższego na jego temat.

– Czyżby? – głos kapitana zabrzmiał trochę szyderczo.

– Ależ tak, chociaż czasami odnosiłem wrażenie, że jego zainteresowania wybiegają poza handlowe...

– Proszą konkretnie.

– To trudno tak od razu sprecyzować. Mam pomysły – zawołał nagle. – Jeżeli go panowie oczywiście zaakceptują. Umówię się z Kellermannem i go odpowiednio wysonduję. Jutro przekażę panom treść rozmowy – spojrzał pytająco na kapitana.

– To pan, rezygnuje z wyjazdu? – uśmiechnął się kapitan.

– Jak to... co pan, ach, rzeczywiście, jadę jutro do Krakowa – odetchnął z ulgą. – Widzę, że niczego nie można przed panami ukryć.

– A dziś?

Edmund poczuł falę ciepła. Pociemniało mu w oczach.

– Co dziś? – spytał ostrożnie.

– Pytam, czy dziś pan nie miał zamiaru wyjechać?

– Jak to, o co panu chodzi?

– Dobrze, dość tej zabawy – kapitan wstał z krzesła. – O wyjeździe pomówimy później. Jest pan zatrzymany. Cięży na panu zarzut zabójstwa Jaronia.

– Jaronia? – Edmund uśmiechnął się blade. – Kto to taki?

– Nie zna pan Jaronia z zakładów w Iglinach?

– Ach tak – przypomniał sobie. – To mój kolega z

lat szkolnych. Ale z tym zabójstwem, to jakieś żarty, panie kapitanie.

– A co pan robił w ubiegły wtorek? Nie widział się pan tego dnia z Jaroniem?

– We wtorek? Tak, przypominam sobie. Byłem z nim umówiony w kawiarni „Sosenka”, ale nie przyszedł na spotkanie. Możecie panowie spytać jego żonę. Dzwoniłem wówczas do jego mieszkania i pytałem, co się z nim dzieje. Jaroniowa na pewno to potwierdzi. A co się z nim stało?

Kapitan spojrział na Edmunda i uśmiechnął się lekko:

– Dzwonił pan do Jaroniowej oczywiście z „Sosenki”?

– Tak – potwierdził Edmund.

– W takim razie dysponował pan chyba radiotelefonem, bo w „Sosence” tego dnia aparaty telefoniczne były uszkodzone.

Dębski podszedł do regału z książkami. Patrzył chwilę na tytuły widniejące na grzbietach i w końcu znalazł interesującą go pozycję. Był to katalog filatelistyczny. Zaczął przewracać strony. Na jednej z nich zobaczył wycięte miejsce. Spojrzął na Edmunda. Ten zrobił ruch, jakby chciał wyrwać książkę z rąk kapitana, ale drugi mężczyzna był szybszy. Za moment Edmund poczuł na rękach kajdanki.

– Spokojnie, panie Langner, spokojnie. Zawołamy zaraz sąsiada i zrobimy małe przeszukanie. Może uda nam się znaleźć jakieś interesujące notatki i bilecik



lotniczy. Może też trochę dolarów? Co pan o tym sądzi?

– Dziwka, podła dziwka – Edmund odwrócił głowę i milcząco spełniał polecenia.

– I co wy na to? – kapitan Dębski przeniósł wzrok z drzwi, za którymi zniknął wyprowadzony przez wartownika Langner, na podkomendnych.

– Rozmowny to on nie jest – westchnął Maciejewski. – Nic nam właściwie nie powiedział.

– A co miał powiedzieć? Przyznać się do okradzenia narzeczonej, zabójstwa Jaronia, współdziałania z Kellermannem i jeszcze paru przestępstw? – spytał Laskowski, też już nieco zmęczony sytuacją i uporem przesłuchiwanego.

– To nie jest pora na utarczki – uciął dyskusję Dębski. – Nie w tym rzecz, czy przyzna się do sprzeniewierzenia biżuterii i pieniędzy albo do popełnienia nadużyć w swojej centrali. Myślę, że te zarzuty możemy mu udowodnić. Interesuje nas w tej chwili motyw, jakim kierował się proponując Jaroniowi wyniesienie z zakładu PCL-100, a następnie zabijając współnika. Czy działał z własnej inicjatywy, czy był przez kogoś inspirowany? I jedną i drugą możliwość musimy wziąć pod uwagę. Langner orientuje się przecież nieźle w chemii i mógł się spodziewać otrzymania za granicą większych pieniędzy za tę substancję. Jeśli zaś nie działał sam, to wobec tego na czyje zlecenie? Nieznanej osoby, o której informowali nas towarzysze ze Służby Bezpieczeństwa,

czy Kellermanna? A może Kellermann jest właśnie owym tajemniczym wysłannikiem? Musimy przyjąć i taką hipotezę. Co o nim wiemy? Przyjechał do Polski pół roku temu. Reprezentuje firmę przedstawicielską dotychczas u nas nie znaną. Wiemy już, że w firmie pracował tylko osiem miesięcy, a już zasłużył na wyjazd. Musiał być bardzo dobry. O jego przeszłości oczywiście nic nie wiemy. Zastanawia mnie tylko jedno: Cooperation Chimique Internationale ma swego przedstawiciela w Budapeszcie. On dba o interesy firmy w krajach Europy wschodniej. Dotychczas żadna nasza centrala nie zawarła ani jednej transakcji za pośrednictwem CCI. I oto w Warszawie pojawia się pan Kellermann i przystępuje do zakładania nowego przedstawicielstwa. Okazuje się, że jest doskonałym organizatorem, handlowcem i chemikiem – bo takie właśnie ma wykształcenie. Jego zachowanie w Polsce jest oczywiście bez zarzutu. Ale zastanawiająca jest jeszcze jedna sprawa – jego czysto prywatna znajomość z siostrą jednego z głównych specjalistów w Iglinach. Przypadek?

– Pamiętajmy – wtrącił Laskowski – że jest to coś więcej niż zwykła znajomość. A kobieta zakochana, mówię o Małgorzacie Zagórskiej, potrafi uczynić wszystko, mimo swej uczciwości...

– Jeśli miałyby takie możliwości. Ale Zagórska nigdy nie interesowała się sprawami zawodowymi brata. I osobiście wątpię, czy jej znajomość chemii

wykracza poza wiedzę nabytą w szkole ogólnokształcącej. Gdyby więc Kellermann wiązał z tą znajomością pewne nadzieje, to znaczy, gdyby znajomość ta nie była przypadkiem, szybko by z niej zrezygnował, zorientowawszy się, że Zagórski nie jest człowiekiem, którego można podejść. Zdawał sobie również sprawę, że nagle zainteresowanie Małgorzaty chemią mogłoby wydać się podejrzanе jej bratu. Stąd wniosek, że znajomość z Małgorzatą postanowił podtrzymać wyłącznie z powodów osobistych, a swoją uwagę zwrócił na Langnera...

– Rozumujesz słusznie – zgodził się z kolegą La-skowski. – Ale ja nie jestem mimo wszystko przekonany. Jeśli Kellermann jest tym, za kogo go bierzemy, a więc pracownikiem lub agentem wywiadu, to powinien zastanowić się nad tym, czy Langner, który sam zaproponował mu pomoc, nie jest kontrolowany przez organa ścigania.

– Być może, ale tego rodzaju praca łączy się zawsze z ryzykiem – włączył się do dyskusji, milczący od dłuższej chwili Dębski. – Może, poznawszy bliżej Langnera, postanowił mu jednak zaufać? Nie miał zresztą wielkiego wyboru. A więc tak: nad Langnerem będziemy jeszcze pracowali, a co do Kellermanna mam pewną koncepcję. Posłuchajcie...

Gdy w mieszkaniu Dębskich budzik, jak zwykle, zadzwonił o godzinie szóstej, pani Ewa natychmiast wciśnęła guziczek i po cichu wyszła do łazienki. Mąż wrócił późno w nocy, postanowiła więc pozwolić mu

pospać dłużej i wyręczyć go w zakupie świeżego pieczywa i mleka, co normalnie należało do jego obowiązków. Szybko dokonała porannej toalety i już wkładała płaszcz, gdy z sypialni wyszedł mąż.

– Zostań, Ewo, w domu, zdążę jeszcze zejść do sklepu.

– Ależ, kochanie, tak późno wrócisz do domu, że powinieneś chyba pospać nieco dłużej.

– Uczynię to za kilka dni.

– Myślałam, że dziś... – zaczęła, ale spojrzawszy na zmęczoną twarz męża, zrezygnowała z dalszej dyskusji.

W trzy kwadranse później kapitan Dębski był już w drodze do biura. Była właśnie wolna sobota, toteż na ulicach niewiele było przechodniów. W gmachu czekał już Maciejewski.

– Jak nasz gość? – spytał Dębski.

– Spał pewnie lepiej niż my. Widać, że umie godzić się z losem. Ledwie się obudził, zaraz zaczął dopytywać się o śniadanie.

– Sądzisz, że powiedział nam wczoraj całą prawdę?

– Zastanawiałem się nad tym. Ja na jego miejscu uznałbym, że nie mam innego wyjścia. Liczyłbym więc, że sąd weźmie pod uwagę współpracę podczas śledztwa, a co najmniej fakt, że go nie utrudnia.

– A jeżeli to były tylko pozory? Maciejewski potrząsnął głową:

– W tym wypadku mamy do czynienia z człowiekiem, do którego się nikt nie przyzna, i to z paru powodów, które dobrze znamy. Może jedynie liczyć na wspólnąomyślność władz. I sądzę, że nasz „włamywacz” zdaje sobie z tego sprawę.

– Chyba masz rację – zgodził się Dębski. – W takim razie – dodał – me pozostaje nam nic innego jak zastawić sidła i złapać głównego ptaszka. Pojdę zreferować sprawę majorowi i przedstawię nasze wnioski. Wydaje mi się, że chociaż zainteresowania Langnera i Kellermanna dotyczą tego samego, to być może, w rzeczywistości działają niezależnie od siebie. Ale do tego wrócimy później. Zobaczymy, co powie szef i jakie informacje otrzymamy jeszcze ze Służby Bezpieczeństwa.

Porucznik Maciejewski opuścił pokój Dębskiego, a ten sięgnął po teczkę z meldunkami obserwacji. Znał ich treść doskonale, ale przed pójściem do majora chciał sobie przypomnieć niektóre szczegóły. Major Mirski miał doskonałą pamięć i wysoko cenił tę cechę u podwładnych. Jeśli któryś z nich gubił się w trakcie referowania lub nie pamiętał wszystkich szczegółów, nigdy się nie denerwował, a przynajmniej nie dawał tego po sobie poznać. Proponował jedynie odroczenie rozmowy na czas potrzebny jego zdaniem do lepszego zapoznania się z materiałami. Oficerowie obawiali się tych „odroczeń” i na ten temat krążyły nawet anegdoty.

Dębski odwrócił stronę:

„»Albert« wyszedł z hotelu o ósmej trzydzieści. Ubrany był w jasnoszary płaszcz i granatowe ubranie, U zbiegu Kruczej i Alej Jerozolimskich kupił w kiosku papierosy i gazetę. Przez chwilę oglądał książki w witrynie patrząc dyskretnie na ulicę za sobą. Poszedł następnie Alejami Jerozolimskimi. Zatrzymywał się przed wystawami. Później skręcił w stronę placu Trzech Krzyży, gdzie kupił bukiet stokrotek. Wszedł z nim do gmachu »Chemexu«. Po dwudziestu minutach był znów na ulicy. Przeszedł Wilczą do Marszałkowskiej. Wszedł do restauracji »Szanghaj«. Po spożyciu obiadu wrócił do hotelu i nie opuszczał go do godziny 23.00. Na tym zakończono”.

– Szef prosi – przerwał Dębskiemu lekturę dyżurny.

Major Mirski wyszedł na jego powitanie zza biurka. Wskazał miejsce w fotelu obok stolika, na którym zawsze stała woda mineralna i sok z czarnej porzeczki, jedyne właściwie napoje, których Mirski używał. Sam usiadł na kanapce.

– Możecie palić – podsunął pudełko z papierosami.  
– A może kawy?

– Kawę już piłem. – Dębski wiedział, że gdyby zgodził się na kawę, zmusiłby również majora do Wypicia filiżanki, a uczyniłby on to jedynie z grzeczności.

– Informowałem dziś rano szefa – zaczął Mirski – o sprawie związanej z Iglinami. Muszę wam powiedzieć, że tym razem była to o wiele przyjemniejsza

rozmowa niż ta prowadzona przed tygodniem. Do zagadnień zabezpieczenia obiektu, a przy okazji również innych, powrócimy jeszcze. Dziś szef wyraził swoje zadowolenie z przebiegu waszej działalności i polecił mi, bym wam to przekazał.

Dębski poczerwieniał. Rzadko zdarzało się, by szef chwalił podwładnych przed zakończeniem sprawy. Zreferował Mirskiemu plan przedsięwzięć operacyjnych, jakie zamierzał zrealizować w ciągu najbliższych dni. Major zgodził się z propozycjami bez zastrzeżeń.

Wróciwszy do siebie Dębski przystąpił do przerwanej lektury meldunków. Przy jednym zatrzymał się dłużej:

„Obserwację wznowiono przed hotelem, »Albert« udał się Alejami Jerozolimskimi do Poznańskiej i wszedł do zespołu adwokackiego nr 128, mieszczącego się w budynku nr 18. Po wejściu do budynku zatrzymał się w miejscu, gdzie wisi spis lokatorów i tablica orientacyjna zespołu. Chwilę czytał, po czym wszedł do pokoju nr 12. Stamtąd wrócił do hotelu, gdzie zjadł obiad. Potem wynajętym samochodem (numer podawano wcześniej) pojechał na Żoliborz do willi inżyniera Zagórskiego, gdzie przebywał do godziny 22.00. Wrócił do hotelu...

Uwaga: Ustalono, że w zespole adwokackim rozmawiał na temat wynajęcia lokalu na swoje biuro”.

– Chyba wszystko się zgadza? – pomyślał Dębski.

## 18.

– Skaranie boskie z tym chłopem! Wstawaj, bo jak wezmę szczotkę – Maciejakowa ciągnęła męża za rękę, potrząsała nim, usiłując przewrócić go na bok. W końcu rozbudziła męża na tyle, że wymamrotał:

– Przecież dziś niedziela, daj mi pospać.

– Niedziela, niedziela – przedrzeźniała męża. – Wstawaj mówię, bo przyszli elektrycy.

– Jacy znów elektrycy? – zapytał już nieco przytomniej siadając na łóżku.

– Od światła – wyjaśniła. – W całym domu nie ma prądu. Pewnie z pogotowia elektrycznego.

– Psiakość. To trzeba wstać – ziewnęła szeroko.

W długim korytarzu na parterze czekało na dozorcę trzech mężczyzn. Mieli ze sobą drabinki, torby z narzędziami i zwoje przewodów.

– Pan tu rządzi? – zapytał jeden.

– Poniekąd – odparł flegmatycznie Maciejak. – Nad ranem było jeszcze światło. Co się mogło stać?

– Przed godziną wezwali nas do sąsiedniej kamienicy. Tam wszystko w porządku, ale jak się nie paliło, tak się nie pali. Musimy więc sprawdzić i u pana. Zaczniemy od zespołu. Ma pan klucze?

– Jasne, już się robi. To pewnie „Pod Jeleniem” też nieczynne – zmartwił się nagle, bo poczuł, że zaczyna



go suszyć. Mówiąc o „Jeleniu”, miał na myśli niewielki bar mieszczący się w sąsiednim budynku, w którym było tylko jedno małe okno i musiało się tam prawie bez przerwy palić światło.

– Mają na pewno świeczki, nie martw się pan – pocieszył go któryś.

– Coś mi się widzi, szefie – wtrącił jeden z młodszych elektryków – że to musi być tu.

Maciejak poczłapał do mieszkania i za chwilę wrócił z kluczami:

– Ten do zespołu, a ten do mufy – wyjaśnił.

– Dobrze. Bierzcie się, chłopaki, do roboty – zakomenderował starszy i spojrzał na dozorcę. – A my, panie gospodarzu, może byśmy przeprowadzili inspekcję „Pod Jeleniem”? Tam też trzeba sprawdzić.

– Nie wiem... – rozejrzał się niespokojnie Maciejak, ale nie dostrzegłszy nigdzie żony powiedział: – Jak trzeba, to trzeba. Mnie tam wszystko jedno. Ale tylko na minutkę – dorzucił.

W barze istotnie paliły się świeczki i dozorca stwierdził z uznaniem, że tak nawet jest szykowniej i przytulniej.

– Śledzik, piwo i po secie – zadysponował elektryk. – Wygoda z takim lokalikiem blisko domu, co? Pan tu może wyskoczyć nawet w kapciach.

– Poniekąd – zgodził się Maciejak, trzymając w jednej ręce kieliszek z wódką, a w drugiej widelec ze

śledziem. – Tylko że człowiek nie ma za wiele czasu. – Na pytające spojrzenie elektryka wyjaśnił: – Widzi pan, na parterze jest zespół adwokacki i ja tam też zawiaduję. Klientów przychodzi dużo to i nabrudzą, kłócą się czasem, a ja mam obowiązek pilnować spokoju od ósmej do trzeciej. To resztę roboty człowiek musi nieraz załatwiać w nocy. Na mnie, panie, lokatorzy się nie skarżą. Taki już jestem akuratny.

– Na pewno – zgodził się elektryk. – A kręcąc się wśród tych klientów nasłucha się pan nieraz wielu rzeczy

– Poniekąd – Maciejak skinął na barmankę, by napełniła kieliszki. – Ja nieraz bym lepiej tym ludziom poradził niż ci adwokaci. Życiowy jestem i wiem, co ludzi boli.

– Długa praktyka, co?

– Dwadzieścia lat w tym samym miejscu – pochwalił się Maciejak.

W tym momencie wszedł do baru jeden z elektryków. Stał przez chwilę przyzwyczajając wzrok do panującego w pomieszczeniu półmroku, a kiedy ich dostrzegł, zbliżył się szybko.

– Znaleźliśmy awarię tam, gdzie mówiłem – poinformował. – A tu wystarczy wcisnąć bezpieczniki – poszedł w kierunku zaplecza i po chwili zabłyśło światło.

– Kolejka dla majstrów – zawołał Maciejak do barmanki, ale obaj elektrycy zgodnie zaprotestowali. –

Musimy jeszcze obskoczyć dwa we-zwania – wyjaśnił starszy. – A do pana może kiedyś jeszcze wpadnę – mrugnął do dozorca i zrobił ruch głową w kierunku młodszego, co miało oznaczać, że musi się liczyć z obecnością podwładnego.

## 19.

Trzydniowy pobyt w lasach spalskich zorganizowany przez Kellermanna wypadł atrakcyjnie. Dopisywała pogoda, wszyscy byli w doskonałych nastrojach. Wiele przebywali na powietrzu, pływali łodziami, zbierali grzyby. Odbyło się też tradycyjne ognisko połączone z pieczeniem kiełbasek. Wieczorami tańczyli.

Sam Kellermann oświadczył uroczyście, że jest to jego pierwsza tak udana wycieczka na łono natury. Czuł się jedynie nieco speszony faktem, że wszyscy uczestnicy wyprawy traktowali go jako narzeczonego Małgorzaty.

W poniedziałek wstał wcześniej, mimo że rano nie miał właściwie żadnych pilnych spraw do załatwienia. Zastanawiał się, czy wyjść z hotelu trochę wcześniej i pokręcić się na wszelki wypadek po mieście, czy też pojechać prosto do zespołu adwokackiego. Sprawdzał się kilkakrotnie i nie stwierdził, by miał „opiekunów”. Przypomniał sobie jednak żelazną dewizę, która brzmiała: „Kontroluj się zawsze i wszędzie”.

A może przyspieszyć wyjazd? – pomyślał. Miałbym już to wszystko za sobą. Ciekawe, że od kilku dni nie zgłasza się Langner. Czyżby wyjechał? A swoją drogą, chciałbym wiedzieć, czy działa on na własną rękę, czy też kryje się za nim kontrwywiad. W pierwszym przypadku mógłby oddać nieocenione usługi. Ale kto go odgadnie? Chwilowo postanowił nie zawracać sobie głowy Langnerem. Nie miał na to czasu, a poza tym nie otrzymał na ten temat żadnych wiadomości z centrali. Dla nich wszystko wygląda łatwo – zaczął się litować nad sobą. W ogóle przyjemnie jest snuć plany i kierować ludźmi siedząc w bezpiecznym gabinecie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Poprosił o połączenie z biurem rezerwacji „Lotu”.

– Mam zarezerwowane miejsce na jutro do Wiednia. Powrót następnego dnia. Czy mógłbym lecieć dziś wieczorem? Tak? To doskonale.

Odetchnął z ulgą. Wykręcił numer telefonu Langnera. Chciał umówić się z nim na obiad za dwa dni. Zrobił to właściwie dla własnego spokoju, zdając sobie sprawę, że jest to dość mizerne zabezpieczenie. Ale zawsze... Telefon odebrała kobieta. Wyjaśniła, że Langner jest nieobecny i nie wiadomo, kiedy wróci. Szkoda – pomyślał. Uświadomił sobie, że im bliżej końca, tym większy ogarnia go niepokój. Starał się uspokoić, tłumaczył sobie, że przecież nic się nie stało, że na razie nie ma powodów do zdenerwowania. Dla odprężenia postanowił wpaść jeszcze do „Chemexu”. Zjechał na

dół i wsiadł do wozu. Wkrótce był na placu Trzech Krzyży. Interesującego go urzędnika nie było w pokoju. Zrezygnował więc z tego spotkania. Zjadł w pobliskiej restauracji mocno już spóźnione śniadanie i pojechał na Poznańską. Zostawił wóz w odległości stu metrów od zespołu. Przed wejściem do budynku spojrzął na guzik dzwonnka do mieszkania dozorczy. Poniżej dostrzegł grubą czerwoną kreskę. Serce zabiło mu mocniej, ale opłynał się szybko. Spokojnym krokiem wszedł do hallu. Wewnątrz było już kilkanaście osób. Przeważali wieśniacy, co łatwo poznał po ich wyglądzie i sposobie ubierania się. Już miał podejść do listy lokatorów, wiszącej tuż przy drzwiach, gdy z jednego z pomieszczeń wyszedł wysoki, przystojny mężczyzna. Kellermann odwrócił się, ale uczynił to o ułamek sekundy za późno. Mecenasa już go dostrzegł i poznał.

– Dzień dobry, panie radco – zawołał. – Proszę bardzo, już wracam.

Kellermann zaskoczony, usiłował coś powiedzieć, ale adwokat nie dopuścił go do głosu.

– Dobrze, że pan zdążył przed moim wyjściem. Właśnie zamierzałem coś przekazać. Widzi pan, jaki tu młyn. Od samego rana. Pana sprawa jest już załatwiona, potrzebny mi, tylko pana podpis.

– Panie mecenasie – zaczął Kellermann, gdy znalazł się w gabinecie. – Sprawa się trochę komplikuje... Moja centrala przewiduje rozszerzenie stosunków handlowych z Polską i polecono mi znaleźć na biuro

znacznie większe pomieszczenie. Wczoraj otrzymałem teleks w tej sprawie. Wie pan, wiąże się to z zaangażowaniem liczniejszego personelu, sprzętu i tak dalej.

– Ależ proszę bardzo, jestem do usług. Pozostałaby tylko kwestia opłat za tę umowę...

– Doskonale. Za kilka dni skontaktuję się z panem mecenasem. Wolałbym wszystko uregulować po zakończeniu sprawy.

Szybko wyszedł z gabinetu. Znów stanął przed listą lokatorów. Oparł rękę o blaszaną skrzynkę na listy, obejrzał się dyskretnie i sięgnął do wnętrza. Pod palcami wyczuł niewielki przedmiot. Ukrył go w dłoni i schował do kieszeni. Odwrócił się powoli i ruszył do wyjścia. W drzwiach zetknął się z wchodzącym właśnie do gmachu mężczyzną. Kellermann chciał go wyminąć, ale nieznajomy zagroził mu drogę.

– Pan Kellermann? – zapytał.

Poczuł, jak fala krwi napływa mu do głowy. Nie było sensu zaprzeczać. Może to przypadek? – przemknęło mu przez myśl. Potwierdził skinieniem głowy.

– Jesteśmy z kontrwywiadu. Aresztuję pana – spokojnie odezwał się mężczyzna.

Kellermann zrobił błyskawiczny ruch w stronę kieszeni, ale w tym samym momencie poczuł, że jakieś silne dłonie przytrzymują z tyłu obie jego ręce i jednocześnie dotarło do jego świadomości słowo „jesteśmy”.

– Spokojnie, panie Kellermann. Oto nakaz aresztowania. Proszę nam nie utrudniać sytuacji. Pójdzie pan z nami.

– Jestem cudzoziemcem! – zawołał Kellermann. – To jakieś nieporozumienie! To bezprawie! Ja protestuję! Czego ode mnie chcecie?!

– Przede wszystkim tego, co ma pan w kieszeni płaszcza. – Mężczyzna dał znak ręką i jeden z ludzi, którzy nie puszczały ramion Kellermanna, sięgnął do jego kieszeni.

– Kaseta z aparatu fotograficznego – stwierdził. Potem przejechał rękami po jego ubraniu, upewniając się prawdopodobnie, czy nie ma broni.

– O właśnie – spokojnie zauważył mężczyzna. – A na temat bezprawia wypowie się sąd. Idziemy.

– To prowokacja! – głos mu się łamał ze zdenerwowania. – Niczego podobnego nie miałem w kieszeni. Żądam umożliwienia rozmowy z ambasadorem mojego kraju.

– Przyjdzie i na to czas. A ponadto ambasador zobaczy na filmie, który mu wyświetlimy, gdzie to jego rodak zrobił sobie skarbonkę. A teraz koniec komedii. Prosimy o spokój, nie chcielibyśmy stosować siły. – Mężczyzna odwrócił się. Kellermann posłusznie poszedł za nim. Z tyłu postępowali dwaj inni. Zrozumiał, że dalsze protesty nie mają sensu. Bez słów wsiadł do stojącego przed wejściem wozu.

Wydarzenia następowały tak szybko, że dopiero w pokoju, do którego go przywieziono, Kellermann mógł nieco ochłonąć, skoncentrować myśli i spróbować zastanowić się nad sytuacją. Wprawdzie obecność dwóch

ludzi w wojskowych mundurach uniemożliwiała całkowite skupienie, próbował jednak gorączkowo znaleźć jakieś w miarę sensowne odpowiedzi na pytania, które niewątpliwie wkrótce zostaną mu zadane. Jak na to wpadli. Czyżby Langner? Czy centrala spóźniła się z ostrzeżeniem? A może Zagórscy? Wykluczone. To dobrze – pomyślał, że w porę zrezygnowałem z wykorzystania Małgorzaty jako mniej lub więcej świadomego współnika. Z tej strony nie mógł nadejść sygnał. Jej ewentualne zeznania mogą przedstawić go najwyżej w pozytywnym świetle. Pozostawał jeszcze mechanik... Nie ma jednak świadków, którzy mogliby potwierdzić, że się z nim spotkał. Zresztą przy pewnej charakterystyce... Przed dziesięcioma laty przeżył już tego rodzaju strach w innym kraju, ale tam skończyło się wszystko dobrze. Może i tu będzie podobnie. Jeśli uda mi się z tego wywinąć, wycofam się ze służby – postanowił.

Rozmyślenia przerwało wejście mężczyzny, któremu jeden z żołnierzy zameldował się wymieniając stopień kapitana. Po chwili wszedł podoficer i usiadł w wyciekającej pozie przy maszynie do pisania. Obaj żołnierze stuknęli obcasami i wyszli.

Po spisaniu danych personalnych kapitan odłożył na brzeg biurka paszport Kellermanna i przez chwilę spoglądał w milczeniu na jego właściciela.

Wreszcie odezwał się nie spuszczać wzroku z Kellermanna:



– Pan wie, co pana do nas sprowadziło, panie Kellermann?

Pytanie to zabrzmiało jak stwierdzenie.

Na twarzy Kellermannna odbiło się zaskoczenie. Był raczej przygotowany na ostry ton przesłuchującego i szybką wymianę zdań. Te słowa zbiły go nieco z tropu. Opanował się szybko i spróbował zaatakować:

– Dziwię się pańskim słowom, panie... kapitanie, czy tak? Od dwóch godzin przetrzymujecie mnie tutaj, nie wyjaśniwszy uprzednio, co ma znaczyć ta sytuacja, która z daleka pachnie prowokacją. Proszę o wyjaśnienie i zadośćuczynienie!

Kapitan uśmiechnął się:

– Rozumiem pana zdenerwowanie i myślę, że powolutku wszystko sobie wyjaśnimy. Z tym jednak, że to ja będę zadawał pytania. Pan jest aresztowany, panie Kellermann – kapitan podniósł lekko głos – i tak będzie pan traktowany. Swoje protesty będzie pan miał okazję wygłosić w stosownym czasie i miejscu. Ponieważ sądzę, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym i wykszolonym, będę pytania formułował konkretnie i proszę o konkretne odpowiedzi. A więc, na czyją korzyść pan pracował?

– Reprezentuję w Polsce firmę CCI, jak panu zapewne wiadomo. Przedstawicielstwo zostało zgłoszone w odpowiednim czasie i uzyskałem zgodę kompetentnych polskich władz na jego prowadzenie.

– Czy mam to rozumieć jako stwierdzenie, że to pańska firma zleciła panu zdobywanie informacji drogą i sposobami, jakie mieliśmy okazję niedawno zaobserwować? Zaiste, nie wiedziałem, że w handlu zagranicznym obowiązuje taka konspiracja...

– Firma nie zalecała mi żadnej konspiracji i nic takiego nie czyniłem.

– Ponieważ udaje pan, że nie zrozumiał mojego pytania, sformułuję je jaśniej. Na rzecz jakiego wywiadu pan pracował?

– Nie jestem związany z żadnym wywiadem! To absolutna bzdura! Moja działalność w Polsce jest, powtarzam, zupełnie legalna.

– Mamy na ten temat inne zdanie, poparte dowodami. Gdzie i kiedy zetknął się pan z inżynierem Zagórskim i jego siostrą?

– Najpierw poznałem panią Małgorzatę Zagórską. Spotkaliśmy się w pociągu, podczas mojej podróży do Polski. Zapewniam pana, że zupełnie przypadkowo. – Kellermann przywołał na twarz uśmiech. – Dlaczego od razu nie powiedział pan, o co chodzi. Wszystko wyjaśnię, panie kapitanie. Od początku byłem pewien, że to jakieś nieporozumienie. Jej brata poznałem później. Moje stosunki z tą rodziną mają charakter towarzyski, powiedziałbym nawet nacechowany przyjaźnią. Łatwo to sprawdzić.

– I kierując się uczuciem przyjaźni zorganizował

pan włamanie do sejfu Zagórskiego, by zdobyć dokumenty, które były tam przechowywane? Z czyjego polecenia pan działał? Komu i jaką drogą zamierzał pan przekazać fotokopie tych dokumentów, które przecież osobiście wyjął pan ze skrytki?

– O żadnej skrytce nic nie wiem, nie organizowałem też żadnego włamania do sejfu, jak pan powiada...

Kapitan Dębski przycisnął guzik znajdujący się na blacie biurka. W otwartych drzwiach stanął żołnierz.

– Wprowadzić aresztowanego Strzelczyka.

– Tak jest.

Kiedy Strzelczyk zjawił się w pokoju i stanął przy drzwiach ze spuszczoneym wzrokiem, Kellermann odwrócił się, spojrzał na niego obojętnie, po czym skierował w stronę kapitana pytające spojrzenie. –

– Podejdźcie tu bliżej, Strzelczyk – polecił Dębski.  
– Znacie tego pana?

– Oczywiście, panie kapitanie! To ten sam, który dał mi aparat i kazał sfotografować te papiery w willi. Umówiliśmy się, że kasetę z filmem zostawię w skrzynce na listy w zespole adwokackim, a na znak, że tam jest, miałem zrobić na drzwiach kreskę. Mówiłem już...

– Dobrze Wyprowadzić... I co pan na to, panie Kellermann? Jeszcze raz pana zapewniam, że wykręty i upór panu nie pomogą.

Kellermann spuścił głowę.

- Będę odpowiadał – powiedział cicho.
- Proszę mi opisać charakter kontaktów z Edmudem Langnerem. Zna pan to nazwisko?
- Oczywiście. Pan Langner pomagał mi w sprawach handlowych. W zamian otrzymywał pewne... gratyfikacje. Do innych spraw go nie dopuszczałem... Domyśliłem się, że jest to wasz człowiek, wolałem więc mieć go na oku. Poza tym otrzymałem ostrzeżenie z... centrali. Polecono mi zrezygnować z pomocy Langnera przy zdobywaniu dokumentacji.
- Jaką drogą dotarło do pana to ostrzeżenie?
- Otrzymałem list...
- Kiedy?
- To było jeszcze przed przyjęciem u państwa Zagórskich. Dokładnej daty nie pamiętam...
- Proszę dalej.
- Otrzymałem list od dziewczyny... Pracuje w tej samej firmie. Ma na imię Christine.
- Co ona ma z tym wszystkim wspólnego?
- Nie sądzę, żeby miała. To był prywatny, zupełnie niewinny list. Ponieważ otrzymałem instrukcję, w której polecono mi dokładne oglądanie korespondencji przed otwarciem, uczyniłem to i tym razem. Rożek znaczka był urwany w określony sposób, co oznaczało, że list zawiera, obok normalnej, treść utajoną. Udałem się z nim do łazienki, zgasilem światło i posługując się specjalną lampką odczytałem ten drugi tekst.
- Gdzie ukrył pan tę lampkę?

– Nie ukrywałem. Jest prawdopodobnie u panów w depozycie. To breloczek przy kluczykach od samochodu. Z treści pisma wynikało, że mam zrezygnować z usług Langnera w wiadomej sprawie.

– W jaki sposób przekazał pan wiadomość do centrili, jak pan to nazywa, o zamiarze wykorzystania Langnera? Również za pomocą korespondencji?

– Nie. Poprosiłem pewnego przygodnie poznanego cudzoziemca, udającego się do Francji, aby zatelefonował do Brukseli i poinformował, że zamierzam zatrudnić w swoim przedstawicielstwie pana Langnera. Oznaczało to, że proponuję go na wykonawcę moich planów. Ów cudzoziemiec wyświadczył oczywiście tę przysługę.

– Widzi pan – uśmiechnął się Dębski – jak łatwo przebiega rozmowa między ludźmi znającymi się na rzeczy Muszę jednak pana rozczarować. O istnieniu Langnera dowiedzieliśmy się zupełnie niedawno i to z innych powodów. Jest zresztą aresztowany, ale to inna sprawa. Pańscy mocodawcy nie byli więc zbyt dobrze poinformowani. Na temat szczegółów pana życiorysu i pracy jeszcze porozmawiamy. Na razie powinien pan sobie uświadomić jedno misji pan nie wypełnił i będzie pan musiał się z tego rozliczyć. Na początek przed naszymi władzami.

– A więc – odezwał się Dębski, kiedy następnego dnia podwładni zebrali się w jego gabinecie na krótką

odprawę – mamy już właściwie tę sprawę za sobą. Nie sądzę, by w śledztwie wyszły jeszcze jakieś nowe okoliczności, które mogłyby nas zaskoczyć. Powiedz – zwrócił się w stronę Maciejewskiego – jak zachowała się Zagórska? Czy powiedziała coś interesującego?

– Potwierdziła to, co już wiemy. Rzeczywiście spotkała Kellermanna w pociągu, gdy jechał do Polski.

– To znaczy, że miał szczęście – zauważył La-skowski.

– Tak, jeżeli nie weźmie się pod uwagę, że w konsekwencji znalazł się za kratkami. – Dębski uśmiechnął się blade. – Ale, na tamtym etapie spotkało go rzeczywiście szczęście. Pierwszą osobą, z którą zawiera znajomość w Polsce, jest siostra człowieka zatrudnionego w interesujących go zakładach. Teoretycznie człowiek ten mógłby umożliwić mu wykonanie zadania w ciągu kilku minut. Kellermann był jednak inteligentny i zorientował się natychmiast, że ubijanie jakiegokolwiek interesu z Zagórskim absolutnie nie wchodzi w grę. Podtrzymywał więc romans z Małgorzatą i czekał. Cierpliwość opłacała się. Zaplanował całą sprawę tak szczegółowo, że jego zdaniem musiała zakończyć się sukcesem.

– A czy miał inne możliwości zdobycia dokumentacji PCL-100? Na przykład za pośrednictwem Langnera?

– Istotnie była taka możliwość. Langner dążył do zbliżenia z Kellermannem i oferował mu różne usługi.

Czynił to jednak dość nachalnie. Kellermann zaczął podejrzewać, że Langner może być osobą podstawioną. Wiedział też, że nie gardzi on prowizjami, co mogło w każdej chwili doprowadzić do podejrzeń i ewentualnego zainteresowania władz. Wolał więc na wszelki wypadek spytać o radę swoich mocodawców. Jaka była ich odpowiedź, to wiemy. Ale nikt z nich nie przypuszczał, że Langnerowi pali się grunt pod nogami, że oszuka Barbarę i zabije Jaronia, co w konsekwencji przyspieszy nasze zainteresowanie osobą Kellermanna. A w ogóle – westchnął Dębski – czy życie nie składa się z wielu przypadków i figli? Gdyby koleżanka w pracy nie spostrzegła kradzieży dokonanej przez Jaronia, gdyby Langner nie zgubił na miejscu zabójstwa imitacji znaczka pocztowego i miał lepiej schowany bilet lotniczy, to kto wie, jak przebiegłaby cała sprawa i jak długo byśmy pracowali nad jej rozwikłaniem?

– Ale gdyby w Iglinach bardziej dbano o przestrzeganie tajemnicy służbowej i gdyby Zagórski nie trzymał w domu tajnej dokumentacji, wówczas nie byłoby tej sprawy – zauważył Laskowski.

– Niezupełnie. Kellermann musiałby szukać innych rozwiązań, ale zgadzam się z tobą, że gdyby nie było tych czy innych zaniedbań, sprawa ta wyglądałaby zupełnie inaczej.